

Rok X

Nr 2 (80)

Luty 1996

NA SZLAKU

GÓRY * TURYSTYKA * ALPINIZM

SPOTKANIE
CZYTELNIKÓW

Rep. z G. 10, 20, 24

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy
poświęcony gór.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego

Wydano przy pomocy Urzędu Kultury
Fizycznej i Turystyki

Zespół redakcyjny:

Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny),
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),
Andrzej Matuszczyk (Kraków),
Stanisław Nosol (sekretarz red.),
Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

Sekretariat i administracja:
tel. 34-386-69

Stale współpracują:

Jacek Kolbuszewski, Tomasz Kowalik
(Warszawa), Aleksander Lwow, Józef Nyka
(Warszawa), Przemysław Pilich (Warszawa),
Ryszard M. Remiszewski (Gliwice), Roman
Rubin, Juliusz Wyslouch (Toruń).

Adres redakcji:

Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,
tel. 34-386-69, fax 34-367-46

Wydaje:

Oficyna Wydawnicza „Sudety”
Oddziału Wrocławskiego PTTK

ISSN 1230-9931

Cena: 1 zł 90 gr

Redakcja zastrzega sobie
prawo adiacji tekstów.

Materiałów nie zamówionych
Redakcja nie zwraca.

Druk: Can-Pol Wrocław

Numery archiwalne do nabycia w Redakcji.

Prenumerata na 1996 r. wynosi 20 zł przy od-
biorze własnym, w Redakcji. Przy zamawianiu
prenumeraty z wysyłką należy doliczyć jej
koszty. Wysyłka 1-2 numerów wynosi 10 zł,
wysyłka 3-5 numerów 15 zł, a powyżej 5 do
uzgodnienia.

Prenumeratę przyjmuje:

Oddział Wrocławski PTTK,
Oficyna Wydawnicza „Sudety”,
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,
Wielkopolski Bank Kredytowy S.A.
O/Wrocław nr: 359209-510600-131,
z zaznaczeniem „Na szlaku”.

Ogłoszenia:

Szczegółowe warunki do negocjacji.

„Na szlaku” dostępne jest w większych
oddziałach PTTK i niektórych
specjalistycznych sklepach i księgarniach
górkich na terenie kraju.

Wszystkich chętnych i zainteresowanych
kolportażem prosimy o kontakt z Redakcją
(minimalna ilość wynosi 10 egz.).

Na okładce: Karkonosze, Śnieżka ze
Srebrnego Uplazu. Foto: Piotr Mrugański

Szanowna Redakcjo!

List ten powstał w związku z pewną nieprzyjemną sytuacją, która wydarzyła się w starym roku. Na początku września wybrałem się z Wrocławia na jeden dzień w okolice Wałbrzycha na malowniczy szlak graniczny Mieroszów – Głuszyca. Szedłem, jak zwykle, ścieżką po granicy (nie ukrywam, że czasami omijała słupki graniczne po prawej czeskiej stronie, ale innej w okolicy ścieżki nie było). Natomiast nigdy nie wchodziłem do lasu po czeskiej stronie. Za to zostałem zatrzymany przez polską straż graniczną, gdyż jeden ze strażników dopatrzył się dwukrotnego nielegalnego przekroczenia granicy. Później zabrano mnie do strażnicy w Golińsku, tam spisano paranoiczny protokół i po dwóch godzinach i rozmowie ostrzegawczej wypuszczono. Kserokopię przesyłam do redakcji. Mam nadzieję, że redakcja, która w tak dokładny sposób opisuje paranoje na szlakach i w górach, wykorzysta mój list. Owszem, tym strażnikom nic nie można zrobić, ale można ich napiętnować moralnie. Prosiłbym, aby jeśli ktoś z państwa lub znajomych będzie się wybierał w ten rejon, to w przypadku

spotkania straży granicznej zwrócić uwagę: a tutaj to zajmują się łapaniem turystów dla poprawienia statystyki, aby się wykazać, że straż graniczna jest potrzebna, a nie poważnymi rzeczami. Ci ludzie są ograniczeni i do nich nic nie dociera, zresztą na strażnicy często padały niecenzuralne słowa. I w ten oto sposób umarł jeszcze jeden szlak w Sudetach...

Z turystycznym pozdrowieniem
Rafał Kapelko

Od Redakcji: w protokole mł. chor. SG B. Ł. napisał m.in.: „... na kierunku miejscowości Sokołowsko poruszał się wzdłuż odcinka gr. państwa na głębokość ok. 3 m trasa marszu ok. 3,5 (sic! – red.) po stronie RC w celu turystycznym i skrócenia ze względu na warunki terenu. Osoba zatrzymana poruszała się ścieżką po stronie RC” i dalej decyzja Naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego (brrr, jak to brzmi!): „po przeprowadzeniu rozmowy profilaktyczno-ostrzegawczej osobę zatrzymaną zwolnić”. Dobrze dla Kafki, nieprawdaż?

Kol. Prezes Zarządu
Schroniska i Hotele Górskie
„Karpaty”
Jerzy Kalarus

Szanowny Kolego!

Przebywałem w okresie świąteczno-noworocznym w jednym ze schronisk i dowiedziałem się przy okazji, że dzierżawcom schronisk odmówiono refundacji zniżek za rok 1995. Poprzednio do roku 1994 zniżki rozliczane były przy okazji kwartalnej płatności dzierżawy. W dniu 4 grudnia 1995 r. dyrektor oddziału w Bielsku-Białej oświadczył kierownikom schronisk na Przystopie, na Stożku, na Rysiance, na Lipowskiej, że refundacja za rok 1995 nie nastąpi i to samo dotyczy będzie roku 1996.

Nie wiem, czy obowiązuje w tej sprawie jakieś zarządzenie, czy jest to tylko czyjaś zła wola, ale uważam, że o ile rozwiązania przyszłościowe mogą być różne (np. Karta rabatowa), o tyle odmowa działająca wstecz jest niezgodna z zasadami dotyczącymi zniżek organizacyjnych, ustalonymi przez Zarząd Główny PTTK i obowiązującymi w całym Towarzystwie.

Na dowód wiarygodności informacji załączam kserokopię oświadczenia wydanego przez kierownictwo schroniska. Mam nadzieję, i uprzejmie o to proszę, że Kolega Prezes zechce zainteresować się powyższym sygnałem i sprostować nieprawidłowości w działalności ZOT w Bielsku-Białej.

Z turystycznym pozdrowieniem
Janusz Zaremba

Od Redakcji: ze względów technicznych (kopia) zaświadczenia nie możemy opublikować, ale potwierdzamy jego wystawienie 4 stycznia 1996 r.

Redakcja „Na szlaku”

Oddział PTTK „Beskid” w Nowym Sączu to trzeci najstarszy Oddział Towarzystwa. Pierwszy obchodził w 1993 r. 90-lecie istnienia Oddział PTTK w Szczawnicy, drugi w 1995 r. Oddział PTTK w Żywcu i trzeci w bieżącym roku Oddział PTTK „Beskid”. Uroczystości rozpoczęto szeregiem publikacji związanych z tym 90-leciem. A więc przede wszystkim niezwykle interesująca broszurka Andrzeja Matuszczyka pt. „Wokół Nowego Sącza”, zawierająca oprócz krótkiej historii Oddziału PTT, potem PTTK, opisu wybranych, najciekawszych szlaków od chwili ich powstania, kalendarium wydarzeń zaistniałych w oddziale za ostatnie 5-lecie, nader ciekawego życiorysu Władysława Stendery, nestora polskiej turystyki, ponad 41 lat przesuwanego Oddziałowi, krótkich notek biograficznych najbardziej zasłużonych działaczy w ciągu tego 90-lecia, opis samego miasta Nowego Sącza i najbliższe położonych miejscowości. Drugą poważną pozycją będzie zarys historii Oddziału „Beskid”, który ukaze się w kolejnym numerze „Rocznika Sądeckiego” w połowie bieżącego roku, uzupełniony ciekawymi zdjęciami z działalności Oddziału.

Od drugiego numeru ubiegłego roku ukazują się w kwartalniku „Echo Beskidu”, wydawanym przez Oddział, artykuły opisujące wybrane tematy z historii Oddziału. Wreszcie w ubiegłym roku ogłoszono konkurs pod hasłem „Moje spotkanie z Oddziałem PTTK Beskid”, z którego wyróżnione i nagrodzone prace ukazywać się będą przez cały bieżący rok w tymże „Echu”.

Centralne uroczystości uczczone będą akademią w sądeckim ratuszu w dniu 24.05. br. oraz wycieczką w dniu 1.07. br. szlakiem pierwszej wycieczki z 1906 r. na trasie: Piwniczna – Radziejowa – Konieczna – Ryto. Ale o tym oczywiście później.

Wanda Szoska

Szanowni Państwo!

Pozwalam sobie przesłać Wam nasz lokalny tygodnik „Jastrząb” – wydanie świąteczne, w którym znajdziecie także coś – niecoś z turystyki lub o turystyce, jak kto woli. [...]

Ponadto nawiązując do mojego artykułu *Na „Kamieńcu” i pod „Prądkami”* w „Na szlaku”, nr 4/70, wraz z późniejszym krytycznym listem do redakcji w tej sprawie, chciałbym uzupełnić informację.

Oto, będąc w październiku 1995 r. z grupą na zamku zaobserwowałem, że w ocallej baszcie urządzono małe muzeum zamkowe z nielicznymi, ale nader ciekawymi eksponatami, a na koronie tejże – punkt widokowy. Na „Kamieńcu” zaczyna się coś dziać i to działa dobrze.

Jest też i osoba oprowadzająca i informująca o historii zamku, z którą, niestety, nie dane mi było poznać się bliżej. Mam jednak nadzieję, że nie stracono. Jest więc na „Kamieńcu” przewodnik i prawdziwie będzie można wsłuchiwać się w ciekawe zamkowe opowieści. Bo w swym artykule mówiłem o opowieściach przewodników „dojeżdżających” tam z wycieczkami.

Łączę wyrazy szacunku

Lech Wiewióra

ZAMIENIĆ NAZWY, CZY TEŻ PRZENIEŚĆ OGRODZENIE?

Przemierzając szlaki Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej można natknąć się na typowe dla tego krajobrazu liczne skalne baszty, maczugi i ostańce porożcinane uroczymi dolinkami, które kryją w sobie niejedną grootę czy też jaskinię fantastycznie wyżłobioną przez zjawiska krasowe, które są typowe dla opisywanego przeze mnie regionu.

Podziwiać możemy piękno nie tylko wapiennych postaci wtulonych w pejzaż okolicznych wzgórz, lecz również ślady ingerencji człowieka w świat przyrody, a mianowicie wspaniałe bryły zamków i strażnic, które niegdyś cieszyły oko swą świetnością, a dziś przypominają nam zamierzające czasy. Niektóre z nich zostały spalone bądź zniszczone, a inne po prostu opuszczono. Do dziś więc bieleją tu i ówdzie rozsiane ruiny zamków. Lecz nie wszystkie spotkał los tragiczny – niektóre z nich „kataklizmy” jakby ominęły i z dumą królują obecnie nad okolicznymi wzgórzami, jak ten w Pieskowej Skale, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego w XIV w. Co prawda, trawiony był przez liczne pożary niejedną raz, ale dziś odbudowany strzeże doliny Prądnika tak, jak za czasów panowania króla.

Ten, jak i wiele innych zamków, oplata swym sznurem, wyznakowany z inicjatywy Kazimierza Sosnowskiego, Szlak Orlich Gniazd koloru czerwonego. I tu, na jego pierwszym kilometrze, mamy do czynienia z arcyciekawym zjawiskiem. A mianowicie, oczom naszym ukazują się malownicze resztki

niedostępnego zamku Morsko (położenie i budowa bardziej kwalifikują go do strażnicy obronnych). Niedostępnego, bo obecnie ruiny weszły w skład Zabrzańskiego Ośrodka Wypoczynkowego Przemysłu Węglowego (coż za nazwa-potwór). Tak więc zamek jest obecnie... ogrodzony (ciekawe, co by na to rzekli jego dawni mieszkańcy?). W związku z powyższym nasunęła mi się myśl, aby zmienić nazwę zamku. Konkretyzując: niedaleko od Morska, bo zaledwie 14 km dalej, znajdują się ruiny kolejnego zamku przy Szlaku Orlich Gniazd, a mianowicie Ogrodzieńca w Podzamczu. Zamek, jak zamek, lecz ta nazwa mówi sama za siebie. Otóż to, jakże bardziej pasuje ona do ogrodzonego zamku Morsko, aniżeli do obecnego!

Wiem, że w tym momencie wszyscy historycy, krajoznawcy czy też po prostu turyści podniosą lament, chwycą za transparenty i wybiegną chociażby przed Urząd Rady Miejskiej z protestem, by żadnych zmian w nazewnictwie zamków nie wprowadzać, a tym bardziej zamian.

No cóż, skoro niewiele osób zgodzi się na zmianę nazw obiektów „wolno stojących” to może by tak... przenieść Ośrodek Wypoczynkowy wraz z ogrodzeniem właśnie w rejon Ogrodzieńca? Może to i śmieszne, lecz przyznacie – brzmi to logicznie. Dlatego kończąc, zwracam się do Was z apelem: „Niech przyjdzie 1000 atletów, a każdy z nich zje 1000 kotletów” i... jedziemy na Wyżynę przenieść ogrodzenie.

Mariusz Szatkowski

Szanowna Redakcjo!

Chciałbym odnieść się do kilku artykułów zawartych w październikowym numerze „Na szlaku”. Mam wrażenie, że pan Wyslouch chorobliwie nie lubi dyrekcji parków narodowych. Nie mogę zgodzić się z treścią artykułu „ZPC 22 lipca d. Wedel, czyli jednak o górach”. Nie jest całkowitą prawdą, że parki przyjmują „niemal całą gospodarkę turystyczną”. Przecież znakowanie szlaków w Pieninach PTTK dobrowolnie oddało PPN. Rezultat – zdecydowanie poprawiło się oznakowanie w Pieninach (o czym wzmianka w artykule obok). Proszę zobaczyć, jak wygląda schronisko „Murowaniec” w Tatrach, należące przecież do PTTK. To totalny brud, bałagan, od ustępów począwszy, na kuchni i bufecie skończywszy. Wynika z tego, że albo przychodzą tu wyjątkowo niekulturalni ludzie, albo obsługa nie radzi sobie. Można dyskutować, czy petetkowskie jest najlepsze. Od blisko 20 lat jestem członkiem PTTK i przykro jest dowiadywać się o oddawanych w inne ręce obiektach, ale takie są realia. Ma rację autor, że urzędnicy petetkowscy tylko się temu wszystkiemu przyglądają. Tam u góry nie ma różnicy, czy ma się sto, czy dziesięć schronisk. Mniej schronisk, mniejszy kłopot. Przynajmniej tak twierdzi szary turysta.

Nie mogę zgodzić się także z następnym artykułem p. Wysloucha „Moja propozycja dla Tatr”. Autor jest chyba idealistą. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby Górale oddali swoją ziemię na parkingi, sklepy itp. Przecież „miedza jest moja”. Przykład? Zbocza Gubałówki. Każdy ma swoje interesy i porozumieć się nie można. A narciarze czekają. Także budowa drugiego toru wydaje się być nierealna. Ołbrzymie koszty budowy torów, nasypów, wykupu ziemi itp. storpedują cały pomysł. Jeśli pociągi miałyby kursować

co 5-10 min. – potrzeba około 10-15 składów pociągów. Gdzie je pomieścić – przecież potrzebna będzie dodatkowa stacja techniczna dla obsługi tych składów. Przykłady podobnych rozwiązań mamy na Śląsku i w Warszawie. Budowa kolei regionalnej wstrzymana, budowa metra ślimaczy się od wielu lat. Wreszcie sprawa ekologii. Biały Dunajec leży w kotlinie. Jaka jest różnica między zatruciem Zakopanego a Podhala? Tam też mieszkają ludzie. Nie wierzę także w możliwość wyegzekwowania opłat od pojazdów wjeżdżających do Zakopanego. Szosa prowadząca do Zakopanego jest drogą krajową, a więc ani władze miasta czy gminy, nawet wojewódzkie, nie mają prawa nałożyć stosownych opłat. Taką jest smutna prawda. To nie jest Szwajcaria, to nie Zermatt czy inne stacje turystyczne. To nie kantony, gdzie samorządność jest bardzo rozwinięta. To jest Zakopane i leży w Polsce, gdzie biurokracja nie zna granic.

I jeszcze o artykule „Szczyt głupoty” z nr 5/95. Autor zali się, że obaj „turyści” postąpili tak, a nie inaczej. Ale trzeba wiedzieć, że w góry chodzą wszyscy: ludzie dobrzy i źli. Trafilo akurat na tych drugich. Zgadza się, że w góry wkracza ignorancja, bezmyślność, chamstwo. Trzeba tylko zastanowić się dlaczego? Panuje u nas moda na wszystko co amerykańskie, co zachodnioeuropejskie – niestety, także na takie zachowanie. Jeśli chodzi o zabłądzenie na grani między Wołowcem a Jarząbaczem to można, mając nawet rozum – zabłądzić. Warunki atmosferyczne w górach są nieobliczalne. Zmienić się mogą w ciągu kilku minut. Autor tego artykułu wie o tym dobrze. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że artykuł ten to woda na młyn dla dyrekcji TPN. Zamknijmy szlaki na zimę, bo ludzie giną. A przecież wiadomo, że giną i będą ginąć, i nie zmienia się tego.

To tyle, z poważaniem

Ireneusz Kurzawski

Przewodnik po mapach (5)

Półkredowy Śnieżnik

Pieszym turystom udającym się na Śnieżnik zawsze brakowało dobrej mapy. Do niedawna w księgarniach można było kupić tylko stare PPWK-owskie opracowanie z 1974 r., a więc z czasów, gdy cenzura wymagała fałszowania map. Spora część polskiej strony Masywu Śnieżnika i całe Góry Białskie obejmują wprawdzie dwie doskonałe, wydane przed dwoma laty w edycji Klubu Czeskich Turystów, pięćdziesiątki „Rychlebské hory” i „Králfký Sněžník”. Jednak w Polsce nigdzie się ich nie kupi.

Wreszcie pod koniec ubiegłego roku pojawiła się nowa mapa, będąca kolejnym dziełem wydawnictwa „Eko-Graf”. Jej tytuł – „Masyw Śnieżnika i Góry Białskie” – w zasadzie jasno określa zasięg. Na zachodzie mapa sięga do linii kolejowej Bystrzyca Kłodzka–Międzyzlesie, na północy do Stronia Śląskiego, na wschodzie do Horní Lipovej – wsi położonej na wschód od Trójkrajnego Smreka. Poza mapą znalazł się Stary Gierałtów i większa część Krowiarek. Zmieściła się za to cała czeska strona Masywu Śnieżnika.

Dużą zaletą mapy jest wygodna do przeliczenia skala 1:50 000. Ponadto w porównaniu ze starymi mapami znajdziemy o wiele więcej szczegółów – pod tym względem nowa mapa bliska jest mapom topograficznym. Warto pochwalić niemal bezbłędne naniesienie szlaków turystycznych – w tym bodaj po raz pierwszy niebieskiego szlaku na odcinku Jodłów–Mały Śnieżnik. Inne wartości odcinania szczegóły to pierwszy raz poprawnie umieszczony znak przełęczy na Puchaczówce (każdy kto był tam, wie że przełęcz jest przy kapliczce, a nie w najwyższym punkcie drogi, jak zaznaczano dotąd na wszystkich mapach) i prawidłowa lokalizacja Trzech Sióstr – skałek w Górach Białskich powyżej Starego Gierałtowa. Także pierwszy raz na mapie turystycznej zaznaczono (choć nie podpisano) Jaskinię Kontaktową. Prawidłowo podpisano też źródłiskowy odcinek Nysy Kłodzkiej, która bierze początek na stoku Trójmorskiego Wierchu powyżej Potoczka, a nie pod Puchaczem, jak pokazuje większość polskich map.

Żeby jednak wydawnictwo nie popadło w samouielbienie pozwolę sobie na kilka uwag krytycznych. Wspominałem o bogactwie treści topograficznej. Fatalnie na tym tle prezentują się drogi. Dużą część leśnych szutrówek oznaczono tak samo, jak lokalne drogi asfaltowe. Konia z rzędem temu, kto się domysli, gdzie każdemu wolno wjechać samochodem, a które drogi dostępne są tylko dla leśników. Z kolei fragment wąskiej, ale asfaltowej drogi z Idzikowa do Nowego Waliszowa (figuruje nawet na nowych mapach samochodowych) oznaczono jako ścieżkę. Sporym niedopatrzaniem jest także brak sporych połaci lasu na zachód od Międzyzlesia.

Przejdźmy do treści turystycznej. Pisałem, że dobrze naniesiono szlaki. Jednak pominięto całkowicie znakowane trasy narciarskie w rejonie Śnieżnika (Cześć na swojej

mapie je uwzględnili). Swoistym kuriozum jest sygnatura ośrodka zdrowia umieszczona pod Śnieżnikiem na wysokości 1200 m, na kompletnym odludziu. Trudno też dociec, dlaczego schronisko w Bielicach (oznaczone w dodatku jako dom wycieczkowy) schowane w lesie, skoro w rzeczywistości znajduje się ono przy drodze na samym początku wsi. W kilku miejscowościach brakuje przystanków autobusowych (w tym ważnego dla turystów końcowego przystanku w Bolesławowie). Pojawia się za to przystanek ...w lesie powyżej Kletna.

Dobrze, że po raz kolejny „Eko-Graf” zrezygnował z kredowego papieru. Użyty papier, choć nieco „kredę” przypomina, jest zdecydowanie trwalszy. Zastrzeżenia mam do sygnatur treści turystycznej – moim zdaniem są za małe, przez co słabo je widać. Z kolei opis na odwrocie mapy wydrukowano tak dużą czcionką, że treści zmieściło się niewiele. Niezbyt szczęśliwym pomysłem jest wyrzucenie legendy na odwrotną stronę mapy i obrócenie jej – wraz z opisem krajoznawczym – pod kątem prostym. W efekcie chcąc na nie spojrzeć, trzeba mapę nie tylko odwrócić, ale jeszcze przekręcić o dziewięćdziesiąt stopni. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że nie jest to zbyt wygodne – zwłaszcza w warunkach terenowych.

Oceny wystawiam następujące:

– Treść topograficzna 4,0.

KOŚCIOŁY PIENIN

Kolejnym dziełem prof. Andrzeja Skorupy jest popularne opracowanie „Kościoły Pienin”. Wcześniej ukazały się publikacje: „Zabytkowe kościoły Polskiego Spisza” (1993) i „Zamki i kasztele na Polskim Podtatrze” (1995). Powstała w krótkim czasie swoista trylogia, która dla miłośników tych terenów stanowi prawdziwe kompendium podstawowych wiadomości o zabytkach Pienin i Spisza.

Jeszcze raz okazało się, że Pieniny to nie tylko przepiękne krajobrazy, bogata kultura materialna mieszkańców czy walory przyrodnicze, ale także zabytki sakralne. I to jakie! W ośmiu miejscowościach znajdują się obiekty, które stanowią przedmiot zainteresowania Autora. Nie będę wymieniał tu wszystkich, bo nie taka jest moja rola, ale zachęcając czytelników do sięgnięcia po tę książeczkę, wspomnę tylko o prawdziwych klejnotach – XIV-wiecznym kościele w Krościenku i drewnianej świątyni w Grywałdzie z XV w.

Kamienny obiekt w Krościenku, znajdujący się przy zachodniej pierzei rynku, łączy w sobie średniowieczne tradycje w planie i bryle z barokowymi szczegółami. Wnętrze pokryte jest malowidłami, które ostatecznie zostały odsłonięte po konserwacji w latach 1949-1955 z inicjatywy Józefa Dutkiewicza i słynne są z walki najlepszych polskich mykologów z pleśnią, która trawi stopniowo czytelność rysunku. Odbarwienie pigmentów wciąż trwa, stąd Autor pozwolił sobie na szczegółowe opisanie malowideł, chyba też dla

– Treść turystyczna 4,0.
– Walory użytkowe 3,0.
– Trafienie w zapotrzebowanie 5,0.
W sumie wychodzi czwórka.

Podsumowując – mapę warto kupić, na pewno przyda się podczas wycieczki. Można na niej znaleźć sporo błędów, jednak na tle swych poprzedniczek prezentuje się o wiele lepiej.

Na marginesie jeszcze jedna uwaga. Niektórzy zarzucają mi czepiać. W końcu najważniejsze, że nowa mapa jest lepsza od poprzednich, a błędów nie popełnia tylko ten kto nic nie robi. Uczciwie przyznaję, że mimo wszystkich niedoróbek, map „Eko-Grafu” nie uważam za złe. Prym w fuszerkach wiedzy wojsko ze swoją edycją setek. Z drugiej strony jednak proszę porównać naszą produkcję z pięćdziesiątkami Klubu Czeskich Turystów – tam naprawdę trudno się do czegoś przyczepić! Dlaczego? Przyczyn jest wiele, ale jedną z istotniejszych jest to, że mapy KČT – niezależnie od tego, że ich treść dobierają zawsze dobrzy znawcy terenu – są recenzowane. Naszym wydawcom na zamówienie recenzji map ciągle szkoda pieniędzy. W efekcie ukazują się mapy niby dobre, ale z licznymi błędami, których można by uniknąć, gdyby treść nie była opracowywana jednoosobowo. Chciałbym, żeby jakość naszych map była porównywalna z czeskimi pięćdziesiątkami. Najbliższym ideału są PPWK-owskie „Góry Wałbrzyskie i Kamiennie” oraz „Park Krajobrazowy Chelmy”. Mapom „Eko-Grafu” sporo do ideału brakuje.

Jacek Potocki

dobra zwiedzających, którzy zyskali czytelny przewodnik po tej polichromii.

W uroczym zakątku, na niewielkim wzniesieniu, w otoczeniu starych jesionów stoi drewniany jodłowy kościółek grywałdzki. Moim zdaniem, powinien być on stawiany w tym samym rzędzie, co słynne kościoły w Dębnie i Orawce. Ozdobą świątyni są również malowidła pokrywające prezbiterium, ściany nawy i parapet chóru muzycznego.

Pozostałe opisane w tej książce kościoły są równie interesujące, że wymienię tylko dawne cerkwie greckokatolickie w Jaworkach i Szlachtowej, z pięknymi ikonostasami.

Każda świątynia jest omówiona szczegółowo – architektonicznie i od strony wyposażenia wnętrza, poprzedzona bardzo potrzebnym rysem historycznym obiektu i samej miejscowości, w której obiekt się znajduje.

Książka opatrzona jest na końcu słownikiem terminologicznym sztuk pięknych, wykazem podstawowej literatury, indeksem wizerunków świętych, postaci biblijnych oraz scen z życia Chrystusa i Matki Bolesnej, indeksem osób i miejscowości.

W sumie publikacja bardzo potrzebna, ukazała się w serii popularnonaukowej oficyny podhalańskiej.

Ryszard M. Remiszewski

A. Skorupa: *Kościół Pienin*, Oficyna Podhalańska: Kraków 1996, ss. 70.

Wysiadłam z autobusu. Ranek był mroźny, a powietrze rześkie. Patrząc na śnieg i tańczące po nim roziskrzone ogniki odbijającego się słońca przysmakuję oczy. Otacza mnie zupełna cisza. Przez chwilę zastanawiam się, co ja właściwie robię tu, w Korbielowie, po kiepsko przespanej nocy... W pobliżu jest tylko Krzysia i Anka, których obecność w tej prawie baśniowej

szczytce. Jak okiem sięgnąć, otaczają nas pastelowe barwy dyskretnie zachodzącego słońca. Miło spojrzeć na podłużne Pasma Hał Orawsko-Liptowskich z wyniosłym stożkiem Wielkiego Chocza czy wzniesienia Beskidu Śląskiego z Baranią Górą, Skrzycznem i Klimczokiem.

Schodzimy, chłonąc różowo-niebieski horyzont upstrzony wzniesieniami

Później było jadło w postaci barszczu, kapusty z grzybami, ryby, kompotu z suszonych owoców i pysznego ciasta. Pojawił się też najprawdziwszy gwiazdor z workiem pełnym prezentów. Chata, płonąca watra, unoszący się dym, pojeżdżający na zewnątrz wiatr, jak i siedzący wewnątrz ludzie stworzyli coś w rodzaju wielkiego świątecznego misterium, w

ZIEMSKI BLASK PACIORKÓW BABCI, czyli świąteczne reminiscencje

scenerii przypomina mi o konieczności poprawienia plecaka i wyruszenia pod górę, do chaty na Górowej.

Anka i Krzysia idą przodem. Ja za nimi, sycąc oczy widokiem szpalerów świerków przystrojonych w odświętne, jakby lukrowane czapy, wsłuchuję się w szemrzącą gadaninę strumienia, skrzypienie śniegu pod butami i delikatną mowę poruszanych lekkim wiatrem gałęzi drzew. Jest mi niezwykle lekko. Zostawiłam bardzo daleko miejski gwar, dręczącą, zabieganą codzienność i bagaż nie zawsze przyjemnych doświadczeń. Pod wpływem chwili zaczynam powoli wierzyć w odwieczną symfonię życia i obcowanie człowieka z naturą. Chyba już wiem, po co idę...

Z filozoficznych rozważań wyrwał mnie widok drewnianego dachu, który wyłonił się po pokonaniu kolejnego wzniesienia. Po kilkunastu krokach okazało się, że jesteśmy na miejscu – w chacie na Polanie Górowej. Po przekroczeniu progu otoczył mnie gwar ciepłych głosów ludzi z SKPB Katowice. Uwijali się jak w ukropie. Ktoś nosił drewno, ktoś inny je rąbał, a jeszcze ktoś inny dokładał do pieca. Po wymianie grzeczności związanych z przedstawieniem się, można już było drapać się po drewnianych szczeblach drabiny, by przygotować kąpiel do spania i posiłek. Znalazł się zatem stół, produkty spożywcze i herbata, która z chłupotem usadowiła się w kubkach. I tak od słowa do słowa dowiadywałam się coraz więcej o SKPB.

W międzyczasie Anka proponuje spacer na Pilsko. Nie mogąc do końca odnaleźć się z Krzysią w świątecznej krzątaninie, ochoczo podchwytyjemy propozycję i już za chwilę jesteśmy znowu wśród śniegu, świerków i słońca. Wędrówkę na szczyt urozmaicają jadący z góry z ogromną prędkością narciarze. Trzeba uważać, by ktoś nie podciął nóg. Mimo to, jak i świszczącego wiatru, bniemy konsekwentnie po kolana w śniegu do góry. Wreszcie stajemy na

z ciemniejącymi w dolinach punkcikami ludzkich osiedli. Przy okazji uświadamiam sobie, że przecież w górach znowu jest zima, znowu pada śnieg, las rozszumiał się muzyką wiatru, pod butami śnieg skrzypi, a na ziemi... blask, jak od paciorków babci. Na moment wróciły zakamuflowane gdzieś w zakamarkach podświadomości obrazy z dzieciństwa i nie mające szans do tej pory się urzeczywistnić, marzenia o lesie, śniegu, górach, chatce i wigilii. Dlatego tak bardzo wzruszył mnie widok rozświetlonej płomieniami watry zwykłej chaty, przystrojonej świerkowymi gałęziami, z poustawianymi wokół drewnianymi stołami i ławami.

Weszłam w sam środek świątecznego nastroju. Między kuchnią a główną izbą unosiło się – oprócz zapachu dymu i gotowanych potraw, przyczajone oczekiwanie.

Kiedy przy ognisku zasiedli już wszyscy, odezwał się prezes SKPB. Mówił o tym, co było, co jest, jak i o górach. Swoją przemową zachęcił do składania życzeń. Było w tym indywidualno-zbiorowym składaniu życzeń coś niesamowitego. Mówione półgłosem falowały aż pod sufit, rozpełzały się po kątach, by później buchnąć jednym głosem wspólnie od śpiewanej kolędy.

którym brałam udział, sięgając przy dźwiękach gitary pamięcią trochę dalej, do letnich wspomnień i przyjaciół...

A kiedy dotknęłam rozpalonym czołem chłodnej powierzchni śpiwora i ułożyłam się wygodnie, wiedziałam dokładnie, że pozbierałam wszystkie od lat porzucane paciorki, nawłokłam je na nitkę, na której świecą teraz swym ziemskim blaskiem i wskazują mi ścieżkę, którą mam się poruszać. Nie zбочę z niej. Zapewniłam!

Sławomira Krupińska



Pod Wołoszynem w Tatrach. Foto: Zdzisław J. Zieliński

KTG – COTG = pewniejsza przyszłość

Pięć lat temu w „Na szlaku” (5/29/91) dawałem wyraz niepokojom związanym z powołaniem nowego COTG i przenosinami obu Komisji oraz samego Ośrodka do nowej siedziby. Na szczęście nie wszystkie najgorsze przewidywania spełniły się, chociaż wiele na pewno tak, jak chociażby problemy z finansowaniem samego COTG i Komisji. Któż dzisiaj jeszcze pamięta, że istnieje „Fundacja COTG”, która od początku okazała się martwa. Znacznie zmniejszeniu uległa obsada etatowa, relatywnie maleją środki na działalność organizacyjną itp., itp.

Jednak pomimo tych kłopotów wzajemne stosunki pomiędzy KTG i COTG jakoś ułożyły się i po okresie „dotarcia” układ ten funkcjonował, chociaż nie bez zgrzytów, wynikających głównie ze sporów kompetencyjnych i niedostatecznych środków finansowych. COTG przez cały czas borykał się z kosztami utrzymania siedziby przy ul. Jagiellońskiej i na działalność programową, swoją i obu Komisji praktycznie nie zdołał nigdy wypracować liczących się pieniędzy.

Ubiegły rok był szczególnie ciężki, najpierw długotrwała choroba, potem śmierć dyrektora Edwarda Moskały utrudniła pracę Ośrodka. Udało się zrealizować większość planu dzięki oddaniu pracowników COTG, szczególnie zastępcy dyrektora Jadwidze Polańskiej, która jeszcze za życia Edka Moskały praktycznie przejęła na siebie ciężar kierowania Ośrodkiem.

Sytuacja tymczasowa nie mogła jednak trwać dłużej i w grudniu Prezydium ZG na wniosek KTG ZG mianowało dyrektorem COTG mgr. Zbigniewa Kreska. Jego program działania Ośrodka uzyskał pełną akceptację w KTG i zdaje się gwarantować właściwą i wszechstronną realizację statutowych zadań COTG. Nie obyło się jednak bez kłopotów, bowiem kandydata na dyrektora trzeba było długo namawiać, przekonywać, wręcz „urabiać”. Nie dziwi mnie to, bo Zbyszek Kreszek, jak chyba nikt w KTG, jest zorientowany w kulisach działalności COTG, był przecież dyrektorem poprzedniego COTGiN i najlepiej zapisał się w jego historii. To właśnie Zbigniew Kreszek był inicjatorem opracowania wraz z KTG planu zagos-

podarowania gór polskich w schroniska i szlaki i raportów na ten temat, on też był jednym z autorów Międzynarodowego Szlaku Przyjaźni Eisenach–Budapeszt. Zresztą jest to osoba tak blisko i od dawna związana ze środowiskiem górskim, że nikomu nie trzeba go przedstawiać. Należy jednak wspomnieć, że dla obecnego Ośrodka ma równie ogromne zasługi, bowiem przez cały czas kierował Sztabem Akcji „PTTK dla Krakowa”, który nie tylko zabiegał o środki finansowe na budowę siedziby przy ul. Jagiellońskiej, ale też pełnił funkcję inwestora w imieniu PTTK.

Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej pod nowym kierownictwem ma obszerny plan działania, którego wszechstronność wynika z regulaminu. Nie miejsce tu na jego prezentację, być może uczyni to sam dyrektor. Na pewno ciekawsze będzie relacjonowanie dokonań. Warto jednak odnotować, że planuje się intensyfikację działań związanych z informacją

turystyczną, sprzedażą wydawnictw (głównie własnych), unowocześnieniem bazy Centralnej Biblioteki Górskiej. Już realizowana jest komputeryzacja zbiorów bibliotecznych, kartotek (przodowników, szlaków, znakarzy, GOT). Jedną z pierwszych inicjatyw dyrektora Kreska, przyjętych przez Komisję, była propozycja, aby tegoroczną *Informację dla przodowników turystyki górskiej* wydać w postaci specjalnego, bezpłatnego numeru „Gazety Górskiej”. W tegorocznych planach Ośrodek ma też w uzgodnieniu z KTG przeprowadzenie wizji lokalnej w wybranych schroniskach jako podstawy dla znowelizowanego raportu o schroniskach, uaktualnienie wykazu klubów górskich dla potrzeb Komisji. Jak widać plany są bogate i pozostaje tylko liczyć na ich pełne wykonanie, czego nie tylko Komisja życzy Ośrodkowi, ale też postara się czynnie dopomóc w realizacji.

Marek Staffa



Fragment Końskich Łbów na Szrenicy w Karkonoszach. Foto: Zdzisław J. Zieliński

„BACHLEDOWCY” W 1995 ROKU

W naszym Klubie Turystów Górskich im. Klimka Bachledy w Bydgoszczy zrzeszonych jest 96 osób, a 30% naszych członków to młodzież. W 1995 r. zorganizowaliśmy, zgodnie z planem, szereg imprez otwartych – wyjazdowych oraz w świetlicy.

W lutym można było spędzić „Zimę nad Wierchomlą”. Śniegu wprawdzie nie było zbyt wiele, ale na stawianie pierwszych kroków na nartach oraz piesze wycieczki starczyło. Był to wyjazd z „widokiem na Tatry” – codziennie można było oglądać, w zmieniającym się oświetleniu, ich panoramę. W okolicy świąt 1 i 3 Maja (10 wolnych dni) 9 osób zachwycało się budzącą się do życia przyrodą Małej Fatry; choć było jeszcze sporo śniegu, sfotografowano wiele okazów pięknej flory górskiej. W tym samym terminie inna grupa wędrowała po Górach Sowich. Zwiedzano sztolnie, forty, obiekty sakralne, w G. Stołowych oglądano torfowiska, malownicze skałki Szczelińca i Błędných Skał, Kaplicę Czaszek i twierdzę w Kłodzku. Nie obyło się bez zgubnych skrótów i błędzenia z powodu niezgodności mapy z rzeczywistością. Jeszcze inna grupa podziwiała uroki średnio-wiecznych warowni w okolicach Wałbrzycha (raczej to, co z nich pozostało). W czerwcu siedem osób poznawało uroki Górców. Punktem wyjściowym była Szczawa. Odbito wycieczki na Kudłoń, Turbacz, Górc, Mogielnicę. Była okazja i zmoknąć, i popalać się, a także posilić się wodą źródlaną, w drodze powrotnej – obowiązkowy postój w Krakowie – na zwiedzanie miasta. W lipcu – czas strasznych upałów – jedni delektowali się urokami Tatr, inni przecierali szlaki Dachsteinu (Alpy Austriackie). W Tatrach klimat sprzyjał wędrowaniu, a dyscyplina polegająca na wczesnym wstawaniu pozwoliła na zdobywanie szczytów w towarzystwie kozic i świstaków. Z Alp przywieziono moc wspaniałych wrażeń, częściowo utrwalonych na przeźroczeniach i świadomość innego świata. W drugiej połowie sierpnia osiem osób walczyło ze słabością fizyczną w wędrowce przez Bieszczady i Beskid Niski – od Polany do Radocyny. Spore odległości między miejscowościami noclegowymi, nieaktualność map z 1994 r. oraz figle przyrody (np. „wariowanie” kompasu pod wpływem bogatych w minerały wzgórz) uczyły pokory, cierpliwości oraz hartowały miejscowego ducha. Nie omieszkało zwiedzić

poobliżkiego Bardejowa i Starej Lubownej (czyli Lubowli Lubomirskich).

Klub organizuje również coroczny Górski Rajd Dzieci, tzn. spacer po okolicznych wzgórzach morenowych, na których najmłodszy zdobywają swe pierwsze szczyty. Tradycją są również niedzielne spacerki, długość ich tras waha się od 10 do 20 km. KTG współpracuje z KTP „Piętaszki” przy organizacji wielu imprez, np. spacerki pod znakiem IVV – od trzech lat na tych imprezach wytyczone są trasy dla niepełnosprawnych; niezapomnianą ubiegłoroczną imprezą był wyjazd w Morawski Kras.

Poza tym, w świetlicy Klubu (od niedawna mieszczącej się przy ul. 3 Maja

20A) odbywają się prelekcje z przeźroczeniami, wystawy, porady i szkolenia oraz imprezy okolicznościowe, np. Andrzejki.

Przy Klubie działa też od wielu lat Terenowy Referat Weryfikacyjny GOT; w 1994 r. zweryfikowano 140 odznak różnych stopni, a w tym roku (pisanie 1. 12. 1995) ciągle napływają nowe.

W programie na 1996 r. proponujemy m.in.: „Zima w Roztoce” (luty), „Karkonosze i Pogórze” (kwiecień–maj), „Skałki Jurańskie” (czerwiec), „Beskid Niski” (lipiec), „Alpy Julijskie” (lipiec), „Bieszczady” (sierpień), „Beskid Żywiecki” (wrzesień).

Beata Wyrzykowska

JUBILEUSZOWE WYDAWNICTWO SKPG

W listopadzie 1995 r. minęło czterdzieści lat bogatej i owocnej działalności Studenckiego Koła Przewodników Górskich z Krakowa. Wśród rozmaitych form przewodnickiej aktywności tego środowiska na uwagę szczególną zasługuje praca wydawnicza.

Ostatnie pięciolecie (1991-1995) Koło to, działające przy Oddziale Akademickim PTTK w Krakowie, uwieczniło na kartach okolicznościowego wydawnictwa-zeszytu, przygotowanego staraniem Jarosława Baryłuka.

Mają te wszystkie pozycje kilka charakterystycznych cech: barwność i rozmaitość poruszanych tematów, lekkość stylistyczną i przeważnie rubaszny humor. Główną ich wadą są natomiast bardzo małe nakłady (przeważnie po kilkaset egzemplarzy), co czyni szersze rozpowszechnienie zagadnień czy nurtujących środowisko akademickie tematów sprawą autentycznie trudną.

Wielka to szkoda, bo Koło, którego członkami honorowymi są m.in. Jan Krupiński, Władysław Cywiński i Józef Olaszewski, a z przewodników zmarłych – Jerzy Doening, Kazimierz Dziub, Roman Peretiatkiewicz, Jan Wątroba i Piotr Lichaczewski – działa aktywnie i wieloletnio.

Fakty te opisuje w swoim tekście Krzysztof Kulesza (za okres ostatniego pięciolecia: praca przewodnicka, szkolenie, wyprawy, życie towarzyskie, reprezentacja), a uzupełniają bogatymi materiałami statystycznymi Jarosław Baryłuk i Krzysztof Marcinkowski. Maja Kłapcia barwnie dokumentuje ubiegłoroczną wyprawę Koła w Karpaty Rumuńskie, zaś

Aleksander Dymek znacznie „pogłębia” wątek rumuński, rozciągając go na okres wcześniejszy, od 1984 r. Z materiału Bożeny Tobiasz możemy zapoznać się ze specyfiką i przebiegiem jednego z kursów przewodnickich Koła, a Stanisław Figiel urozmaicił i ubarwił stronice zeszytu pozycją górską z różnych stron Karpat.

Zachęcam do lektury, a szczególnie do nabycia pozycji, najlepiej u wydawcy.

Andrzej Matuszczyk

Z historii Studenckiego Koła Przewodników Górskich z Krakowa (1991-1995). Krakowskie SKPG przy Oddziale Akademickim PTTK, Kraków 1995.



Foto: Zdzisław J. Zieliński

JEŚLI TAM BĘDZIECIE

● Konkurs pisanki, tradycyjnej plastyki obrzędowej związanej z Wielkanocą – 25 marzec, Tarnów. Organizator: Wojewódzki Ośrodek Kultury, tel. (0-14) 213-450

● Konkurs Palm Wielkanocnych – 26 marzec, Lipnica Murowana. Organizator: Wojewódzki Ośrodek Kultury

● Konkurs Palm Wielkanocnych – 31 marzec, Rabka (woj. nowosądeckie). Organizator: Muzeum im. W. Orkana, 334-700 Rabka, tel. (0-187) 763-32

NOWOŚCI TURYSTYCZNE

● Białowieski Park Narodowy zostanie powiększony o 5 tys. ha – poinformował ostatnio minister Ochrony Środowiska. Świętokrzyski Park Narodowy powiększono o część Pasma Klonowskiego i skarpe „Zapusty” w Paśmie Pokrzywiańskim – łącznie o ponad 1,5 ha. W istniejącym już 46 lat parku naliczono 5 tys. gatunków ptaków. Występują tu m.in. cietrzew i orlik krzykliwy.

● Osiem kolejnych rezerwatów przyrody na powierzchni 1500 ha utworzonych zostanie w 1996 r. w woj. krośnieńskim. Wszystkie powstaną w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Większość będzie chroniła resztki środowiska puszczańskiego oraz unikatowe odmiany buczyny karpackiej. Utworzenie rezerwatów usprawni także ochronę skał piaskowcowych, pomnikowych drzew, rzadkich gatunków flory i fauny, pozostałości średniowiecznych grodzisk.

LĄDEK-ZDRÓJ PO RAZ KOLEJNY

Z przyjemnością informuję, że we wrześniu będziemy mogli zaprosić do Łądka-Zdroju na II Przegląd Filmów Górskich. Ciężar prac organizacyjnych wzięła na siebie ta sama grupa osób, bogatsza jednak o zeszłoroczne doświadczenia. Niewątpliwym sukcesem jest znalezienie się Przeglądu wśród najciekawszych imprez woj. wałbrzyskiego oraz przejęcie opieki nad całością przez miejscowe Centrum Kultury i Rekreacji. Mamy nadzieję, że instytucjonalizacja tego przedsięwzięcia pozwoli uniknąć pewnej żywiowości, na jaką byliśmy skazani poprzednio.

Planujemy zaprezentowanie w ciągu trzech dni około 20 godz. filmów. Zależy nam bardzo, aby widzowie mogli obejrzeć filmy zarówno te mniej znane, jak i wielką klasykę gatunku. Pokazy zamierzamy urozmaicić licznymi imprezami w górach. Swoją przyjazd zapowiedziało też wiele znanych osób. Prace organizacyjne już trwają, a o ich postępach postaram się informować czytelników regularnie.

Celem naszych działań jest sprawienie, aby Przegląd, stając się imprezą cykliczną, był elementem promocji tego zakątka kraju. Uważamy, że jest to znakomita okazja do zaprezentowania uroków uzdrowiska i miejscowych atrakcji. Z pewnością jest to także dobra okazja do reklamy. Zapraszamy wszystkie firmy, które z tej możliwości chciałyby skorzystać. Mamy przygotowane w tym celu odpowiednie materiały informacyjne z konkretnymi propozycjami.

Staramy się, aby całe przedsięwzięcie miało wymiar ponadregionalny, aby Łądek-Zdrój, przynajmniej przez te trzy dni, stał się górską stolicą Polski. Jesteśmy przekonani, że tak będzie.

Zapraszam wszystkich gorąco.

Nasz adres: Centrum Kultury i Rekreacji, pl. Staromłyński 5, 57-540 Łądek-Zdrój, tel. (074) 146-562 lub tel./fax (072) 141-418 w Urzędzie Miasta.

Zbigniew Piotrowicz
Szef Biura Organizacyjnego

INFORMUJEMY, ŻE W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAZĄ SIĘ NAKŁADEM Oficyny Wydawniczej SUDETY NOWE PRZEWODNIKI K. R. MAZURSKIEGO: „ZIEMIA KŁODZKA – CZĘŚĆ POŁUDNIOWA” ORAZ „GÓRY SOWIE”.

AGROTURYSTYKA

Gmina Cisna

Liszna – 38-607 Cisna

Osada leśna nad rzeczką Roztoczka, 3 km na południe od Cisnej, na wysokości ok. 600 m. PKS w Cisnej-Majdanie, ok. 1,5 km. Również w Cisnej poczta, ośrodek zdrowia, kościół, policja, sklepy, restauracja, bary, ośrodki wczasowe, schronisko PTTK, pole namiotowe. W Cisnej-Majdanie znajduje się przystanek Bieszczadzkiej Kolejki Wąskotorowej (nieczynna).

Sławomir Dybaś – pensjonat „Magda”

Liszna 5, tel. Cisna 11, 38-607 Cisna.

Pokoje 1, 2, 3, 4-osobowe (25 miejsc), pełne wyżywienie. W gospodarstwie konie wierzchowe, z możliwością nauki jazdy dla dzieci. W okresie zimowym czynny zaczepowy 300-metrowy wyciąg narciarski, możliwość kuligów. Oferta całoroczna.

Strzebowska – 38-608 Wetlina

Niewielka wieś przy trasie Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej. PKS w kierunku Wetliny, Cisnej, Leska, Krosna i Rzeszowa. Sklep, bar w odległej o 2 km Kalnicy, poczta, kościół w Wetlinie. Punkt wyjściowy na Połoninę, Wielkie Jasło 1158 m.

Feliks Trzciniński – Strzebowska 2, 38-608 Wetlina

Pokoje 2 i 3-osobowe (9 miejsc noclegowych). Możliwość sporządzania posiłków we własnym zakresie. Oferta sezonowa (maj – październik).



Skalnik

SKLEP GÓRSKI

WROCLAW, UL. BOGUSŁAWSKIEGO 45
PON.-PIĄT. 10⁰⁰-19⁰⁰ SOB. 10⁰⁰-15⁰⁰
TEL. 62-72-23

PROPONUJEMY

W SZEROKIM ZAKRESIE:

- informacje, mapy, przewodniki, beletrystykę górską, albumy, fachowe doradztwo
- odzież
 - bluzy, kurtki: POLAR, SYMPATEX, GORETEX, PUCHOWE
 - kurtki POLAR także dla dzieci
 - kombinezony, dresy, spodnie z POLARU
 - dodatki (opaski, rękawice, skarpety, ochraniacze)
- obuwie turystyczne i wspinaczkowe
- plecaki
- sprzęt biwakowy: namioty, karimaty, śpiwory, kuchenki gazowe
- sprzęt wspinaczkowy
- szkolenie wspinaczkowe, usługi przewodnickie
- organizujemy wyprawy trampingowe i trekkingowe
- dla stałych klientów 5% rabatu!

ZAPRASZAMY!!!

Bieszczady... Góry znane i nieznanne. Zwykle kojarzą się z Soliną, czasem jeszcze z Ustrzykami i Tarnicą. Tymczasem góry te kryją w sobie wiele nieznannych, uroczych zakątków, do których docierają nieliczni.

Nasza sierpniowa wyprawa zaczęła się w Polanie. Do punktu startowego do-
tarliśmy późno, bo około 14, po piętnasto-

poprawiły przy popołudniowym ognisku i kiełbaskach, zwłaszcza że przestało padać i mogliśmy wybrać się na przełęcz nad Roztokami. Kolejnym etapem naszej drogi jest Łupków. Wyruszamy wcześniej, doliną Solinki, leśną drogą do Banicy, potem szlakiem do Starego Łupkowa... to ta kępka drzew i pozostałości cmentarza... oraz Łupkowa... też pozostałości cmen-

mapie to 11 w rzeczywistości i ledwo zdążyliśmy na ostatni autobus... a w Daliowej... nie ma schroniska, mimo iż przyjmowali rezerwacje. Od rana, różnymi okazjami, zwiedzając po drodze Tylawę, Nowy Żmigród i Krempaną docieramy do Ożennej, skąd już pieszo kierujemy się do Radocyny, wymarłej wsi, której jedynymi mieszkańcami są podhalańscy górale i

BIESZCZADZKA ŁAZĘGA

godzinnej podróży. Pogoda jest wspaniała, na niebie ani jednej chmurki. Mozolnie niebiesko jest nad Sanem mgłami i słońcem. Tym razem już nie mamy ochoty korzystać z kompasu i idziemy „na nosa”, orientując się po okolicznych szczytach. Przez Hulskie – tu ze wsi pozostały tylko ruiny cerkwi – Zatwarnicę, Dwernik, Kamień i Nasiczne do Berehów Górnych. Przez całą drogę towarzyszy nam słońce, jeżyny, piękne widoki i gęste bieszczadzkie lasy.

Następny ranek wita nas opadającymi nad Sanem mgłami i słońcem. Tym razem już nie mamy ochoty korzystać z kompasu i idziemy „na nosa”, orientując się po okolicznych szczytach. Przez Hulskie – tu ze wsi pozostały tylko ruiny cerkwi – Zatwarnicę, Dwernik, Kamień i Nasiczne do Berehów Górnych. Przez całą drogę towarzyszy nam słońce, jeżyny, piękne widoki i gęste bieszczadzkie lasy.

Zgodnie z planem, trzeciego dnia odpoczywamy, tzn. wybieramy się na wycieczkę z małymi plecakami. Trasa prowadzi z Bereżek lasem do schroniska na Przysłopie... stąd rozpościera się wspaniały widok. Różne odcienie zieleni i szarości oznaczają kolejne pasma gór... potem na Połoninę Caryńską... po drodze niespodziewana przeszkoda – maliny i czarne jagody... ze szczytu oprócz szerokiej panoramy – widać było nawet Popadę – mogliśmy podziwiać lotniarzy. Bardzo strone zejście urozmaicały strumienie i stary bojkowski cmentarz.

Wtorek mijają pod znakiem zmieniających tras i takiej pogody. Kolejnym celem są Roztoki Górne. Nie wszyscy decydują się na trasę przez Paprotną i Rabię Skałą i wybierają krótszą trasę – ze Smereka czerwonym szlakiem na Okrąglik. Drodze towarzyszą wierne czarne jagody i... czarne chmury. Do Roztok docieramy na wyścigi z ulewą, byliśmy nieco szybsi. Rano też padało... wybieramy się do Cisnej, uzupełnić zapasy chleba... mokro i zimno... humory nam się

poprawiły przy popołudniowym ognisku i kiełbaskach, zwłaszcza że przestało padać i mogliśmy wybrać się na przełęcz nad Roztokami. Kolejnym etapem naszej drogi jest Łupków. Wyruszamy wcześniej, doliną Solinki, leśną drogą do Banicy, potem szlakiem do Starego Łupkowa... to ta kępka drzew i pozostałości cmentarza... oraz Łupkowa... też pozostałości cmen-

tarza i cerkwi, stacja kolejowa i oczywiście studenckie schronisko.
Noclegiem w Łupkowie żegnamy się z Bieszczadami i wchodzimy w Beskid Niski, równie dzikie i mało znane góry. Trasa wiedzie przez Siwakową Dolinę, Danawę, Kanasiówkę do Jasiela. Wyznaczenie trasy fatalne, ale nie przejmujemy się tym... mamy kompas, który nie robi nam tym razem żadnych niespodzianek i bez trudu docieramy do granicy, tu rolę znaków przejmują słupki graniczne. Z licznych polan na zalesionym grzbiecie rozciągają się piękne widoki na słowacką stronę... chciałoby się tam trochę powędrować, ale... oznaczone na nowej mapie przejście graniczne nie zostało jeszcze wybudowane. Wreszcie docieramy do Jasiela... strumień z orzeźwiająco wodą, pomnik poległych w walkach z UPA, szopa i nic więcej... krótki odpoczynek kończymy dyskusją nad dalszą drogą... decydujemy się na zejście do Woli Niżnej, skąd można dojechać do schroniska w Daliowej – to tylko 5 km, a do schroniska w Lipowcu według mapy – ok. 8 km. Tym razem figla spłatała mam mapę – 5 km na

turyści. Położona w zakolu Wisłoki studencka baza jest oazą ciszy, a spokoju nie zakłóca nawet niewielki hotel leśny. Zwiedzanie okolicy zaczynamy od obejrzenia pozostałości po wsi – cmentarz z I wojny z ciekawą inskrypcją, ruiny cerkwi i szkoły (zbudowanej w... 1973 r.) i siedem bacówek które oczywiście odwiedzamy, a gościnni górale częstują nas buncem i żętycą. Kolejny dzień poświęcamy na wycieczkę do Wołowca. Szlak, a raczej stara droga, wiedzie wzdłuż Wisłoki i Zawoi, kilkakrotnie przechodzimy przez płytkie tego roku brody, podziwiamy głębokie przełomy Zawoi i liczne przydrożne krzyże, by wreszcie dotrzeć do zabytkowej cerkwi w Wołowcu. Mimo, iż wracamy tą drogą, trasa nas nie nuży; pomruki burzy przyspieszają tempo... ostrożność była zbyt duża, burza nas ominęła.

Następnego dnia wybieramy się drogą do Zdyni... cerkiewka i cmentarz z I wojny... skąd przez Popowe Wierchy... jeżyny i gąszcz leśny... dochodzimy do Jasionki... stadnina koni... potem na azymut, przez las i wierzchołek Czarnego – gąszcz, jeżyny i stada saren i jeleni – wracamy do bazy. A wtorek poświęcamy na zdobywanie okolicznych, nazwanych i nie nazwanych szczytów. Docieramy lasem, gęstym od krzaków i jeżyn, do Dębiego Wierchu, bez ścieżek i dróg schodzimy... prosto do bazy.

A następnego dnia... skoro świt ruszamy do Koniecznej – oczywiście skrótem, przez Beskidek. Tam przekraczamy granicę i ciągle jadąc w kierunku Zakopanego zwiedzamy uroczny, otoczony średniowiecznymi murami Bardejów, potem Starą Lubownę – czyli szeroko znany z sienkiewiczowskiego „Potopu” zamek Lubomirskich oraz Łomnice – Wielką i Tatrzańską. Późnym wieczorem, pełni wrażeń, docieramy do Zakopanego.

Zaś w Tatrach: wspinamy się na Kościelec, wchodzimy w głąb gór (w jaskiniach Dol. Kościeliskiej), podziwiamy szarotki na Stołach... i oczywiście oglądamy występy zespołów uczestniczących w Festiwalu Ziemi Górskich – po to przecież przyjechaliśmy w te tak mocno zatłoczone góry.

Marzena Wojnarowicz



Bieszczady – Szmaragdowe Jezioro
Foto: Juliusz Wyslouch



Weroniki Sobolewskiej i Szymona Płazy PANOPTICUM GÓRSKIE

Lucja Barbara z Giedroyciów Rautenstrauchowa (1798-1886), generalska córka i żona, życie miała ciekawe i urozmaicone, poznała w nim wiele sławnych osób, była bardzo w swoim czasie poczytną pisarką, sporo też podróżowała. Lat kilka mieszkała w Paryżu, lata 1844-1846 spędziła na podróżach po Niemczech, Szwajcarii, Włoszech i Francji. Swoje podróżnicze wrażenia zawarła w kilku książkach, spośród których do najciekawszych należą jej wspomnienia zatytułowane *W Alpach i za Alpami*, wydane aż dwukrotnie, najpierw w 1847 r., potem 1850. Nastawiona na doznawanie typowo romantycznych wrażeń, Lucja

nie odstraszyło pewną kobietę, a za nią kilku jeszcze innych. Tak pierwsza bohaterka tak dalece tę swoją cenila zuchwałość, iż dla uwiecznienia swej sławy dodała przydomek do nazwiska swojego. I tak Maria Coutet, wróciwszy ze swej podróży, kazała się nazywać Marią z Góry Białej (Marie du Mont Blanc).

Wyprawa ta zabiera tylko godzin siedemnaście, lecz konieczne najpiękniejszej wymaga pogody, zupełnej ciszy. Ta zaś jest tak na Górze Białej rzadką, iż podróżujący po kilka tygodni w Chamuny (Chamonix) czatować na nią muszą. Nieraz się także trafia, iż potem zacząwszy pielgrzymkę, gdy się wiatr raptowny zerwie, z połowy drogi

pału, co tam prowadzi, ani też nie umiem dość wysoko ocenić w tych zwycięstwach zyskanych wawrzynów.

Z pierwszym, który zaprzysiągi bądź co bądź w te zupełnie ludziom nieznanie krańce się przedrzeć i pierwszy na tym głazie (a choćby i na lodzie, ale zawsze pierwszy) swe wyręć imię, może bym ciekawa była moje połączyć kroki, moje obok niego imię zapisać, a wróciwszy, pierwsza powiedzieć światu, jakie w swym łonie tajemnice kryje. Ale teraz... teraz tysiąc razy wolę w cieniu zielonego gaju lub przy żarzącym się kominku czytać tych pielgrzymów opisy, podzielić nawet ich trwożę, gdy śnieg już wyżej kolan im dochodził, gdy

PANI GENERALAŁOWA I BIAŁA GÓRA

Rautenstrauchowa chętnie podróżowała po górach, nie miała jednak wielkich turystycznych ambicji zdobywczych, co wcale nie znaczy, by brakowało jej estetycznej wrażliwości na uroki górskich krajobrazów. W jej prozie opisy pejzaży górskich pojawiają się zatem raz po raz, towarzysząc im zaś bardzo nieraz ciekawe refleksje, niekiedy zgoła wręcz osobliwe. Do takiej właśnie kategorii zaliczyć można uwagi, jakie poświęciła ona najwyższej górze Europy. Zobaczmy więc, do jakich uwag sprowokowało Łucję z Giedroyciów Rautenstrauchową zobaczenie Mont Blanc (cytujemy z tomu pierwszego drugiego wydania *W Alpach i za Alpami* ze stron 14-16):

Wiadomo, iż dotąd Białą Górę poczytywano za najwyższą. Wznosi się bowiem na 14 760 stóp nad powierzchnią morza, a obwodu jej dają 68 francuskich mil. Długi czas ta dumna białogłowa w swej zimowej obwiniecia szubie, z lodowatym u stóp szafcem, nikomu nie dawała do siebie przystępu. Długi czas daremne, nieraz życiem okupione, były w tej mierze usiłowania. Lecz w końcu ludzie, dla których przeciwności są bodźcem, zdolali i tę srogą przyrodę twierdzę zdobyć. W 1787 r. po raz pierwszy, a odtąd już kilkanaście razy osiągnięto jej szczytu. Wyprawa ta jednakże zawsze niebezpieczeństw pełna, uważana jest przez podróżujących za pewien rodzaj sławy, o którą wielu, mianowicie Anglików, się ubiega.

W 1834 r. hrabia de Tilly obie nogi w niej z mrozu postradał, co jednak

wracają, nauczeni już kilku smutnymi wypadkami. Kilka razy już się bowiem zdarzyło, iż tacy, którzy chcą wytrwałości dać dowód, uporczywie z przeciwnościami walczyli, w oka mgnieniu zasypani z góry lecącym śniegiem, nigdy już nie wrócili więcej.

Jedni mówią, iż stamtąd Śródziemne Morze dojrzeć się daje; drudzy wyznają, iż nic prócz śniegu i chmur z wierzchołka Góry Białej nie widzieli. To drugie wyznanie, acz bynajmniej nie usprawiedliwiające tylu poniesionych niebezpieczeństw i trudów, tym samym jeszcze bardziej zdaje się na wiarę zasługiwać. Co mnie, szczerze wyznam, iż bynajmniej nie rozumiem tego za-

całkiem skrzepli, pod zmęczeniem upadli – niż sama te wszystkie znośić trudy, dla powiedzenia potem, iż byłam na Białej Górze i widziałam na niej... śnieg i chmury, tyle razy widziane!

Są zapewne dusze młode, nadmiarem życia przepełnione, dla których każda walka jest powabem, każde zwycięstwo rozkoszą; ale jakąż szkoda na tak małe cele takie szafować przyrody swej skarby! Bardzo być musi uboga w chwały epoka, w której o podobną ubiegają się chwałę! Walczyć z żywiołami natury, gdy dalszych, większych nie ma w tym widowisków, nie jest waleczności dowodem, jako też odniesiona nad nimi zwy-



cięstwa można tylko za przyjazny traf policzyć. Odwrotnie wzięwszy to twierdzenie, znajdziemy jego dowód w Napoleonie i wojnie 1812 roku.

Na nieszczęście tych Białej Góry zapalonych miłośników znaleźli się teraz uczeni, którzy zaprzeczają jej pierwszeństwa, dowodząc, iż Góra Różowa (le Mont Rose) o 240 stóp jest wyższą! Pan Saussure i Welden obszerne o wszystkim tej ostatniej góry zaletach wydali dzieła. Te jednak dotąd nie zdołały całkiem zagłuszyć odwiecznej Białej Góry sławy. Są tacy, szczęśliwsi ode mnie, którzy z Lugdunu (Lyonu we Francji) jej wierzchołek podziwiają. Ja w Lugdunie byłam i na wszystkie oglądałam się strony, lecz w tej, gdzie się Biała Góra wznosi, widziałam tylko przestrzeń, niebo, chmury i nic więcej!

Pierwszy raz naprawdę ujrzałam ją z Genewy. Tam ona z jednej

strony poważnie widnokrąg zamyka, a gdy mglistą swą zrzuci zasłonę, prześlizgnie swe białe rysy na lazurze nieba określa. Góra Biała stamtąd prawdziwie malowniczą ma postać, a mimo swej srogości bynajmniej nie ćmi pogodnego Genewy wejrzenia.

* * *

Dla alpinistycznych pasji Rautenstrauchowa zrozumienia więc nie miała za grosz, jej zaś widzenie gór przesycone było czystej wody estetyzmem. Jej jednak pogląd o bezsensowności alpinistycznych wysiłków i celowości ich przeznaczenia na bardziej „pożyteczne” cele może nam się mniej wyda śmieszny, gdy sobie uprzytomnimy, że i dziś wielu ludzi w dość podobny sposób myśli o alpinizmie. Zabawne jest raczej to, że poczytana autorka uznała, iż jedynym godnym trudu czynem jest pierwszeństwo

w wejściu na dziewiczy szczyt i że w takiej imprezie ona by sama chętnie udział wzięła. Wypadek hrabiego de Tilly był w całej Europie wówczas głośny, pisano o nim sporo i może kiedyś historię jego dramatycznej wyprawy tu przypomnimy. O tym, że Monte Rosa sławy góry najwyższej Mont Blanc jednak nie odebrała, wiemy dobrze. Żale zaś pisarki, że z Lyonu Mont Blanc nie zobaczyła, choć powiadają, że czasem tę górę stamtąd widać, skomentować można przypomnieniem, iż mówi się nieraz, że Śnieżka bywa widoczna z Wrocławia, ale mało kto ją stąd widział. Otóż w samym tylko roku 1995 zdarzyło się nam dwukrotnie, iż z dość wysokiego punktu w mieście widzieliśmy Śnieżkę nader wyraźnie. Pani generałowa w Lyonie miała mniej szczęścia. I to wszystko.

Z HISTORII CZERWONEGO KLASZTORU

W jednym z najpiękniejszych zakątków Pienin znajduje się Czerwony Klasztor. Zbudowany został w historycznej Dolinie św. Antoniego. Prawdopodobnie nazwa ta ustaliła się od znajdującego tu eremu pod wezwaniem św. Antoniego Pustelnika.

Pierwszy klasztor był drewniany. W 1319 r. magister Kokosz dokonał nadania 62 łanów w Dolinie św. Antoniego na rzecz zakonu Kartuzów. Budowę klasztoru rozpoczęto w 1330 r., była to budowla ekspansyjna, spełniająca zadośćuczynienie za zamordowanie przez Berzeviczych Fryderyka (Chyderyka) – syna komesa Arnolda. Wówczas obiekt ten nosił nazwę Klasztoru Lechnickiego, bowiem ziemia w Dolinie św. Antoniego znajdowała się na terenie wsi Lechnica. Wieś ta lokowana była na prawie niemieckim w XIII w. w dolinie pot. Hawka i jest jedną z najstarszych wsi Zamagurza Spiskiego. W 1325 r. Kartuzi wykupili ją i władali tu do 1612 r.

Budowę klasztoru z kamienia i cegły rozpoczęto w 2 połowie XIV w. Odtąd zaczęto nazywać go „Czerwonym Klasztorem”. Głasy atoli są podzielone, czy nazwa ustaliła się od pokrycia dachu czerwoną dachówką, czy od zewnętrznych filarów z czerwonej cegły. Po łacinie nazywał się *Eremus Claustru Rubri in Valle Lechnitz*.

W 1711 r. klasztor objęli Kameduli i pozostali w nim do 1782 r. Tak więc liczni autorzy piszący o Pieninach nie popełniali błędów, gdy raz mówili o klasztorze Kartuzów, a drugi – o klasztorze Kamedułów, być może nieświadomie wprowadzili czytelników w inny historyczny okres dziejów. Kameduli zwali klasztor *Eremus Conventus Montis Coronae*.

Dlaczego Kartuzi opuścili klasztor?

Zakon ten z powodu rozpusty obyczajów został skasowany na Spiszu dekretem z 1563 r. *Notabene* Kameduli także opuszczali klasztor w 1782 r. z powodu tzw. józefińskiej kasacji zakonu!

W połowie XVIII w. brat Romuald Hadbavny w klasztorze zasłynął opracowaniem gramatyki i słownika łacińsko-słowackiego, i przełożeniem na język słowacki całego „Pisma Świętego”. Dla kultury słowackiej były to prace naprawdę ważne.

Innym sławnym mnichem w klasztorze był brat Cyprian (Frater Cyprianus). Dzięki kwerendzie Zofii Radwańskiej-Paryskiej znamy jego prawdziwe nazwisko! Franciszek Ignacy Jäschke, urodził się w Polkowicach na Śląsku 28.07.1724 r., ojciec jego Józef był mieszczaninem, z zawodu krawcem. Śluby zakonne złożył w Nitrze, a do Czerwonego Klasztoru przybył w 1756 r. mając 32 lata i osiadł tu już na stałe. Zmarł 16.04.1775 r., przeżywszy zaledwie 51 lat.

Brat Cyprian był lekarzem, aptekarzem, kierował zakonnym refektarzem, był łaziebnikiem, łowił ryby w Dunajcu dla klasztoru, założył przy klasztorze ogródki, w którym uprawiał zioła lecznicze, pisywał i malował, a nawet ponoć wyrabiał zwierciadła. Jak mógł te wszystkie czynności pogodzić ze ścisłym regulaminem zakonnym i obowiązkami zakonnika?

Zasłynął z dwóch powodów. Po pierwsze, przeszedł do historii jako florysta i zielarz. Najważniejszą pracą był jego słynny zielnik zachowany po dziś dzień. Po drugie, skonstruował aparat do latania i wleciał na nim z wierzchołka Trzech Koron. Fakt ten odnotowuje „Encyklopedia Słowacka” (1977). Niestety, nie wiemy, ile w tym przekazie jest prawdy, a ile mitu. Lot ten skończył się na brzegu Du-

najca pod samym klasztorem, w wersji zmitologizowanej doleciał nad Morskie Oko, tam zginął od porażenia piorunem, który zmienił go w skałę zwaną odtąd Mnichem.

W innej wersji brat Cyprian wylądował nad Morskim Okiem, tam panna morską spostrzegłszy urodziwego mnicha zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i zamieniła go w głaz, aby mieć go na stałe przy sobie. Odtąd stoi skamieniały mnich nad Morskim Okiem. Piękne legendy!

Piewca Pienin – Jan Wiktor, poświęcił bratu Cyprianowi opowiadanie „Zapomniany lotnik” (1937) i opasłą powieść „Skrzydlaty Mnich” (1947). Współcześnie Władysław Midowicz zbeletryzował jego lot w „Gawędach karpaczkich” (1992).

Dziś w odrestaurowanych pomieszczeniach klasztornych mieści się od 1966 r. muzeum, filia Muzeum Wschodniej Słowacji z Koszyc. Ekspozowane są starodruki, obrazy, stroje i przedmioty należące do mnichów, w osobnym domku mieści się wystawa poświęcona bratu Cyprianowi. Z okien klasztoru i z brzegu Dunajca widok na Trzy Korony jest imponujący, samo miejsce też jest urokliwe i stosunkowo łatwo dostępne dla turystów z Polski (przejście graniczne w Łysej nad Dunajcem).

Poważnie myśli się o otwarciu Drogi Pienińskiej (przejście w Szczawnicy Niżnej), od dłuższego czasu trwają rozmowy polsko-słowackie na ten temat, może wkrótce się skończy?

Przełom pieniński z tej drogi jest również wielką atrakcją krajoobrazową, o czym warto pamiętać wybierając się w Pieniny.

Ryszard M. Remiszewski

SCHRONISKA KARPACKIE (2)

Rodowód tego obiektu, najdawniejszy, historyczny – dziś bardzo znanego w Beskidzie Śląskim, nie może być szczególnym powodem do dumy. Schronisko stanęło w 1897 r. jako pierwszy

8 października 1986 r. wybuchł w schronisku z nieustalonych do dziś przyczyn pożar, który strawił dach nad częścią noclegową oraz górny, drewniany fragment wieży widokowej. Działalność zo-

nym drewnianym schronisku na Przysłupie pod Baranią Górą – zatem tylko trzy lata dzielą ich od chlubnego jubileuszu 40-lecia pracy w górach.

Zapraszając serdecznie na Szyn-

SZYNDZIELNIA - „KRÓLESTWO” RODU ZONTKÓW



obiekt Niemieckiego Towarzystwa Turystycznego „Beskidenverein” (Sekcja Bielsko) i podobnie, jak inne sąsiednie w okolicy (Klimczok, Magurka nad Wilkowicami w Beskidzie Małym), nawiązywało bryłą budynku raczej do tradycji bawarskich niż beskidzkich.

W latach międzywojennych Szyndzielnia zostaje wykupiona przez Urząd Miasta w Bielsku i przekazana miejscowemu Oddziałowi PTT. Po zakończeniu II wojny światowej obiekt już od czerwca 1945 r. służy turystom (pierwszy kierownik: Anna Maciejna).

Nowym, bardzo ważnym etapem w historii Szyndzielni stają się lata pięćdziesiąte, kiedy z uwagi na realizowaną budowę kolei gondolowej z Olszówki konieczna stała się modernizacja i rozbudowa schroniska w związku ze spodziewanym bardzo dużym ruchem turystycznym. W ramach tych prac schronisko otrzymało kompletne wyposażenie i nowe skrzydło dla obsługi gastronomicznej, przede wszystkim z myślą o passantach korzystających z kolei gondolowej. Podjęto także stałą obsługę górskich wczasów wędrownych i zimowych obozów narciarskich.

stała wznowiona już nazajutrz po pożarze, zaś remont części noclegowej trwał do następnego roku.

Państwo Zontkowie, obecni dzierżawcy Szyndzielni (od 1969 r.), należą na skalę Karpat do prawdziwych weteranów w służbie dla plecakowych turystów. Już w 1959 r. podjęli pierwszą pracę w pięk-

dzielnię, pragnę dowieść walorów rozlicznych tego masywu. Przede wszystkim jest tu wielka różnorodność szlaków turystycznych o różnej skali trudności, a w zimie dogodne trasy narciarskie. Dla słabszych kondycyjnie otwierają się świetne możliwości łatwych spacerów po skorzystaniu z usług pachnących świeżością nowych wagoników kolei gondolowej, która posiada stację górną o kwadrans drogi od schroniska, a stację dolną w dzielnicy Bielska-Białej-Olszówce.

Można z Szyndzielni pospacerować i na pobliski Klimczok, i na nieco dalszą Błatnią, gdzie czekają na turystów następne gościnne schroniska PTTK. Można stąd wreszcie zejść przez przeł. Karkoszczonek do Szczyrku, świetnie skomunikowanego z aglomeracją bielską. Dotarcie do podnóża masywu (Olszówka) zapewnią linie komunikacji miejskiej z Bielska-Białej.

Szczególnie miło wspominają listopadowe spotkania na Szyndzielni, w schronisku PTTK państwa Zontków, znakarze szlaków górskich z całej Polski, podkreślając serdeczność i prawdziwie turystyczną atmosferę.

Andrzej Matuszczyk
(widokówki ze zbiorów autora)



O czym? O zagospodarowanych schronach turystycznych, czyli kolibach. Były kiedyś w naszych górach, a dziś ich namiastką są spotykane przy szlakach schrony przeciwdeszczowe. Są namiastką, ponieważ służą innym celom. Można się w nich schronić przed ulewą czy burzą, odpocząć, przepakować plecak i nawet od błoty przespać, ale tylko od błoty. W gó-

albo „dla jaj” podpali. I to jest możliwe. Ale skoro schrony takie są w Rumunii i na Ukrainie, to dlaczego nie spróbować u nas. Czy jesteśmy gorsi? Łobuzeria jest wszędzie, to prawda. Oto solidnie wykonane urządzenia „ścieżki zdrowia” w Toruniu przetrwały dokładnie 20 godz. Oddano ją do użytku przed południem jednego dnia, a nazajutrz było już po wszystkim. Polak

POMARZYĆ WOLNO

rach naszych sąsiadów, a także dalej w Alpach, Karpatach Południowych spotykamy schrony turystyczne, takie z prawdziwego zdarzenia. Są to „noczowki” w Gorganach i Czarnohorze, „senniki” na Słowacji, „refugium” w Karpatach rumuńskich, „bivacco” w Dolomitach, „hütte” w Alpach austriackich i niemieckich, i inne podobne przybytki spotykane choćby w Skandynawii (Park Narodowy Abisko i inne).

Oznacza to, że takie schrony mogą funkcjonować, skoro są niemal w całej Europie. Tylko nie u nas?!

Chcę zgłosić pomysł (podejrzewam, że nie nowy) postawienia w paru miejscach schronów turystycznych, prawdziwych, solidnych, nie jakiejś tam prowizorki podszytej wiatrem. Oczywiście nie mogą to być blaszano-drewniane puszeki podobne do włoskich „bivacco”, które dobrze pełnią swą rolę, ale są niewymownie brzydkie. Żeby nie było wątpliwości! Zdaję sobie sprawę z kondycji finansowej naszej, kraju i Towarzystwa, dlatego nie chodzi mi o budowę nowych schronisk, których jest wystarczająco dużo.

I tak masę środków pochłania bieżąca konserwacja, modernizacja i remonty tego, co mamy. Jednak kilka schronów znakomicie uzupełniłoby sieć ogólnie dostępnych obiektów noclegowych i oddaliłoby potrzebę budowy normalnych, wielce kosztownych schronisk.

Jak wyobrażam sobie taki schron? Zewnętrznie powinien nawiązywać do budownictwa pasterskiego, przypominać szafas pasterski. Powinien mieścić 7-10 turystów, posiadać stół do przyrządzania posiłków, z częścią obitą blachą służącą jako kącik kuchenny, miejsce na plecaki i kilka półek. Schron należy wyposażać w apteczkę, koc przeciwpożarowy, puszkę na wolne datki, wiadra, wieszaki, stojak na narty, a także szpadel i łopatę. Powinien się też znaleźć kącik informacyjny z paroma przewodnikami i mapą terenu. Mogą też się znaleźć koce, ale bez przesady. Nie musimy karmić myszy. Chałupka powinna mieć wentylację, podobną do stosowanej w szafasach – otwory pod kalenicą w szczytach, ale z przesłoną zapobiegającą nawiewaniu śniegu.

Powie ktoś: ot, marzyciel. Przecież po tygodniu wszystko ktoś rozkradnie,

potrafi – wiem, ale chyba warto spróbować.

A oto miejsca, w których proponuję postawić schrony:

Pod szczytem Lubania w Gorcach, jeśli nie przewiduje się odbudowy schroniska, na Mogielnicy w okolicy źródła, nad Wisłoką na zachód od Dąbiego Wierchu, nad Bęczką na południe od Lipowca – to w Beskidzie Wyspowym i Niskim, a także w rejonie Połoniny Bukowskiej w Bieszczadach. Być może po dokładniejszej analizie sieci schronisk i baz namiotowych znalazłoby się jeszcze parę miejsc, w innych grupach górskich. Chodzi o kilka schronów pozwalających na dalekobieżną wędrowkę niekoniecznie z namiotem, stanowiących oparcie także dla turystów-narciarzy.

Aha! Problem śmieci proponuję rozwiązać na sposób austriacki. W schronie powinny się znaleźć woreczki plastikowe z nadrukiem „napelnij mnie odpadkami i znieś na dół do kosza”.

Tak wyobrażam sobie działanie schronów turystycznych w naszych górach. Czy tylko ja? Może są jeszcze inni marzyciele i odezwą się na łamach „Na szlaku”.

Juliusz Wystouch

MAŁE PIENINY W MODZIE

Jeszcze parę lat temu niewielu turystów odwiedzało Małe Pieniny. Ruch turystyczny ze Szczawnicy kierował się głównie w stronę Pienin i Pasma Radziejowej. Nie można oczywiście zapomnieć o tłumnie odwiedzanym Wąwozie Homole i o bazie namiotowej pod Wysoką. Jednak na głównym grzbiecie Małych Pienin było pusto. Dziś sytuacja jest zupełnie inna, głównie za sprawą kolejki linowej ze Szczawnicy na Palenicę i równoległe biegnącego szlaku wyprowadzającego w pobliżu grzbietu głównego.

Obecnie uczestnicy wczasowych turnusów (renesans?) i „autokarówek” nie zatrzymują się już na łączce nad Homolami, lecz wędrują dalej w kierunku Wysokiej, sapiąc i klnąc wdrapując się na przełęcz pod tym najwyższym w Pieninach szczytem, i idą grzbiem Pieninek w kierunku Szafranówki i Palenicy.

Równie duży ruch panuje od strony stacji kolejki. Większość turystów i wycieczkowiczów wyjeżdża kolejką, oszczędzając sobie stromego i mozolnego podejścia szlakiem. Kolejka umożliwia zwłaszcza kuracjom dostęp do gór, do niedawna niedostępnych dla wielu mniej sprawnych i silnych. Z hali na Palenicę rozciąga się wspaniały widok na Pieniny, a już niedalekie spacerki w kierunku Łażnych Skał i Rabsztyna dostarczają widoków na Beskid Sądecki.

Nie dziwny się zatem, kiedy idąc przez Małe Pieniny spotkamy grupy „torbaczy”, tzw. reklamówek zamiast plecaków, i „trampkarzy”. Dzięki kolejce kuracjusze mogą cieszyć się „górotępią”, a ci, których nie stać na trud podejścia, mogą odwiedzić to słynące z widoków pasmo górskie.

Juliusz Wystouch



W Bazie pod Wysoką. Foto: Juliusz Wystouch

Chcę opowiedzieć o największym pod względem formatu płótnie polskim, jakie kiedykolwiek zostało namalowane: o „Panoramie Tatr” – jego genezie, powstaniu i losie.

Wszedłem kiedyś w Tatry na Krzyżne, od Pańszczycy. Tu zgrzanego podejściem chwycił przeciąg i ziąb. A tuż w prawo, pod Ptakiem – zacisnie jak u Pana Boga za piecem. Przysiadam więc na bezpiecznym, bo wypieszczonym przez słońce gładzie. Zachłannie rozglądam się, by sprawdzić, czy wszystkie „górkę” na swoim miejscu. A widoczność wystrzona jak przed załamaniem pogody. A że okropnie nie lubię przez „wierutnych złośliwców” wymyślonego zejścia do Pięciu Stawów, więc ociągam się nieco. W dodatku „usłudni diascy” podsunęli akurat pod plecy oparcie skalne, słońeczko grzeje, powietrze dyszy aromatem ziół...

Krótko przed tym wypadem w Tatry odwiedziłem Wrocław. A ściślej: odbyłem pielgrzymkę do „Panoramy Raclawickiej”, wielkiej świętości mego dzieciństwa. Zerkam teraz na masywny grzbiet Miedzianego. No tak – powiecie słusznie – uznałeś każdy pretekst za dobry, byle odwlec to „cholernie chopkanie” w dół ku Roztoce. Trudno – przynaję się. Przymrużam oczy, twarz oddaję słońcu i popuszczam wodze fantazji. Zapadam w dumania o sprawach sprzed setki lat, wyczytanych w różnych książkach o górach, uściślonych w nieocenionej „Encyklopedii Tatrzańskiej” Paryskich.

Zapraszam na wspólne rozpamiętywanie.

Czerwiec 1894 r.

Po dłuższej stocie zawitała do Zakopanego cudowna pogoda. Liczni goście wyroili się z pensjonatów, zakładu leczniczego doktora Chramca, z dusznych izb wynajętych u górali. Kto żyw rusza na wycieczkę lub przynajmniej spacer. W tej liczbie trzej panowie, których poznamy za chwilę: wynajęli jednokonną furkę i kazali się zawieźć do Doliny Kościeliskiej.

Ledwo minęli Kościeliską Bramę (Niznią, później zwaną Bramą Kantaka) i znaleźli się w pełnym słońcu Wyżnej Kiry Miętusiej, a już zrezygnowali z dalszej jazdy i ruszyli pieszo, by – jak to określili – rozprostować nogi. Czas przedstawić. Ci dwaj panowie w narzuconych pelerynach to oczywiście malarze: Włodzimierz Tetmajer, przyszły gospodarz „Wesela”, i Wincenty Wodzinowski. Trzeci – to Henryk Lgocki, krakowski lekarz. Chociaż zaperzeni w dyspacie, zachłannie chłoną uroki ulubionej doliny.

A o czym to tak dyskutują? Ano o tym, czym żyła w tych dniach cała polska

inteligencja: o setnej rocznicy Insurekcji Kościuszkowskiej. Przecież dla jej zmanifestowania kilka zaledwie dni wcześniej nastąpiła we Lwowie uroczysta inauguracja Powszechnej Wystawy Krajowej, mającej wykazać światu jedność dorobku gospodarczego Polski we wszystkich trzech zaborach. A wraz z Wystawą – wielki akcent patriotyczny i zarazem nie-

Malarze aż przystanęli zauroczeni obrazem skomponowanym przez naturę: w głębi przymglony trapez Bystrej i Błyszczą, skontrastowany bliższymi, wymodelowanymi przez słońce, zerwani wapiennych turni, a całość oprawiona soczyście czarną ramą stojących w głębokim cieniu świerków. Wtem pan Henryk zniemacka strzelił w malarzy pomysłem zuchwałym: A jakby

PANORAMA

bywały sukces artystyczny stanowiło odsłonięcie „Panoramy Raclawickiej”, znanie dziś jako dzieło Jana Styki i Wojciecha Kossaka. W rzeczywistości pracowało przy niej więcej artystów, m.in. Tetmajer. Bo był to obraz olejny 15x120 m w formie walca o średnicy około 30 m, w obrębie którego na pierwszym planie sztafaż ułożone zostały rekwizyty...

Pan Włodzimierz kieruje czułe spojrzenie w lewo, ku wyłaniającej się spoza czubków lasu świerkowego iglicy Zwiesistej Turni i rozważa zamiar Towarzystwa Tatrzańskiego, by dla uczczenia zasług Walerego Eliasza Radzikowskiego zdublować jej nazwę mianem Eliaszowej Turni. On, Włodzimierz, pochłonięty malowaniem krakusów, prawie rok przestał we Lwowie na rusztowaniach przy płótnie i nie mógł sobie pozwolić choćby na krótki wypad do Zakopanego, na tatrzańską włóczęgę. Czuje się zmęczony, ale jednocześnie szczęśliwy, że jednak udało się im w rekordowo krótkim czasie i na przekór „kraczącym” pesymistom stworzyć wspaniałe dzieło.

Już mostek u wylotu Miętusiej, trochę cienia i droga na Stare Kościeliska.

tak, panowie, namalować nie ustępującą Raclawickiej, może jeszcze okazalszą, Panoramę... Tatr?

Po sukcesie Panoramy Raclawickiej aura namalowania panoramy wysokogórskiej zdawała się być wręcz wyśmienita. Pierwsze takie gigantyczne malowidła, przedstawiające wielkie wydarzenia historyczne (zwłaszcza batalistyczne) bądź widoki miast, narodziły się w Londynie i Paryżu jeszcze u schyłku XVIII w. Zainteresowanie nimi powróciło właśnie w 2 poł. XIX w. wraz z umiłowaniem wielkiego formatu i realistycznej tematyki historycznej w sztuce, czego rodzimym przykładem chociażby mistrz Matejko. W Rosji powstały panoramy bitwy pod Borodino i obrony Sewastopola. Dlaczego by więc nie pochwalić się przed światem urokami naszych rodzimych gór? Wszak to one zauroczyły całą plejadę polskich artystów i intelektualistów, bo w nich znaleźli – jak pisał poeta Franciszek Nowicki w pięknym sonecie – „ostatnie wolności ołtarze”.

Pomysł zakotwiczył się błyskawicznie w artystycznym, licznie ściągającym na lato pod Giewont, światku. O niczym



Tatry Zachodnie – Ornak od Trzydniowiańskiego Wierchu. Foto: Zdzisław J. Zieliński

innym nie rozprawiano podczas spacerów pod Regle. Najżywiej jednak przy „śniadankowych” stolikach w kawiarniach, gdzie temperatura dyskusji w miarę wychylania kieliszków zbliżała się do stanu wrzenia. Panorama Tatr?! Oczywiście! Koniecznie! Natychmiast!

Myśl przednia, ale przedsięwzięcie nie takie znów bagatelne artystycznie,

TATR

organizacyjnie, finansowo. Pięknoduchy wolały skupić się na wyborze punktu widokowego. Miejsc takich – dowodzili jedni – jest w Tatrach zatrzesienie: Rysy, Mięguszwieckie, albo i Świnica. Tak – ripostowali drudzy – ale z owych granicznych szczytów tylko połowa ukazanych gór będzie polska, zaś reszta węgierska. I kto tam będzie się wdrapował? Może więc lepiej Granaty lub Wołoszyn albo słynne Krzyżne? Panorama ma swoje wymagania – pouczali teoretycy palety i pędzla – żąda pełnego, dookólnego widoku bez jakichś rozcinających, przysłaniających, sterczących „zawalidróg” na pierwszym planie. Każę ujmować wszystkie plany aż po kres horyzontu, no i nie znosi monotonii – lubi, by coś się działo w jej przestrzeni, aby w krajobrazie gościli ludzie. O rozstrzygnięciu sporu zwrócono się do obecnych akurat w Zakopanem największych autorytetów, pospołu malarskich i tatrzańskich. Za poradą Walerego Eliasza i prof. Gersona, za punkt widokowy do malowania Panoramy Tatrzańskiej obrano ostatecznie Miedziane, rozłożyste, dominujący szczyt między Doliną Pięciu Stawów Polskich a Doliną Rybiego Potoku, w całości „polski” i względnie łatwo osiągalny.

Prace ruszyły niezwłocznie. Na dwa kolejne sezony ożywiły się okolice Morskiego Oka. Grupa malarzy zajęła na bazę schronisko Towarzystwa Tatrzańskiego (budynek obecnie zwany „starym schroniskiem”, odsunięty nieco od stawu za morenę, najstarsze tatrzańskie i jedyne zresztą w tym rejonie – wszak nie istniało jeszcze schronisko w Dolinie Pięciu Stawów). Stąd w każdy sposobny dzień wspiano się na szczyt Miedzianego, aby pracować nad przygotowaniem szkiców.

Właściwą panoramę malowano w Monachium, gdzie znajdowała się odpowiednio wielka pracownia. Nigdzie w Polsce takiej nie było. Przy Panorami Racławickiej pracowano w wzniesionej uprzednio i przeznaczonej już dla niej rotundzie. Monachium stanowiło wówczas jeden z głównych centrów malarstwa euro-

pejskiego. Wielu, może nawet większość, naszych rodzimych twórców tam pobierała nauki lub doskonaliła warsztat, a przynajmniej trafiła pod wpływ tej szkoły. Kilku Polaków było profesorami monachijskiej Akademii.

Rok 1896.

W dwa lata po opisanym spacerze malarzy w Dolinie Kościeliskiej, gotową panoramę wystawiono najpierw w Monachium, a potem przewieziono do Warszawy. Obszerne objaśnienia do tego wielkiego obrazu tatrzańskiego, w formie specjalnej broszury, wyszło spod pióra samego Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Panoramie Tatr nadano wymiary zbliżone do Racławickiej. Była o 5 m krótsza, ale wysokość płótna wynosiła 16 m. Rachunek wykazuje niezbicie, że powierzchnia prześcignęła swą dostojną, słynną poprzedniczkę i awansowała na pierwszą pozycję, zyskując tytuł „największy obraz polski”. Przedstawiała kompletny widok z Miedzianego z wszystkimi planami, z dodaniem grup turystów oraz sportretowanych osób już wtedy zaliczanych do legendarnych postaci Tatr i Zakopanego, zasłużonych dla regionu, jak Walery Elias, Wojciech Gerson, Stanisław Witkiewicz czy zmarły w 1893 r. (wówczas to niedawno) ks. Józef Stolarczyk.

Do płótna przykładają pędzle cała plejada artystów, głównymi jednak jej twórcami, którzy wzięli ponadto na siebie trud kierowania całym przedsięwzięciem, zostali Stanisław Janowski i Ludwik Boller. Wspaniale się uzupełniali. Pierwszy – krakowianin specjalizujący się w pejzażach, portretach i ilustracjach – okazał się niezrównanym organizatorem opracowania szkiców terenowych na Miedzianem i ich dostarczania do stolicy Bawarii. Drugi – osiadły w Monachium malarz niemieckich krajobrazów, ten sam, którego Panorama Racławicka zawdzięcza swą cudowną świetlistość przestrzeni i przymglenie dalekiego horyzontu – w monachijskiej pracowni przewodził podczas prac na płótnie. Postacie osób wymalował wzięty portrecista, przyszedł profesor ASP w Krakowie, Teodor Axentowicz.

Przepadam za spacerem warszawską aleją Na Skarpie, od Rozdroża do Mariensztatu. Najlepszą porą ku temu jest wczesna wiosna, kiedy drzewa i krzewy obiecują nam dopiero pierwsze liście i nie przysłaniają nam jeszcze widoków. Od razu po przejściu kładki nad Tamką trafia się na dawne Dynasy – wspominam je jako jeden z najnowocześniejszych kiedyś obiektów sportowych w Europie. Mieścił się tutaj tor kolarski Warszawskiego To-

warzystwa cyklistów. Można w to miejsce trafić również krótszą drogą – zbiegając z Krakowskiego Przedmieścia od pomnika Kopernika w dół ulicą Obozną. Już dawno ucichł gwar zawodów, chociaż teren wciąż ujawnia to i owo. Widnieją też resztki ruin czegoś, co na przełomie XIX i XX w. było rotundą mieszczącą Panoramę Tatr. Rotundę wzniesiono kilka lat wcześniej nim zabrano się za tor kolarski.

Jakieś fatum zawisło nad „Panoramą”. Ludwik Boller podczas wykończania płótna w Monachium spadł z rusztowania i w kilka dni później zmarł (1886). Miał 34 lata i ogromną, zapewne, przyszłość przed sobą.

Panorama przywieziona z Monachium do Warszawy nie spełniła oczekiwań finansowych. Zubożałe niewola społeczeństwo Kongresówki nie podzieliło entuzjazmu Galicjan dla mało sobie znanych, oddzielonych granicznym kordonem Tatr i ich legendarnych postaci. Wszak tzw. „odkrycie” Zakopanego dla Warszawy przez Tytusa Chałubińskiego było grubą przesadą. Dotyczyło wąskiego grona pacjentów doktora. Panorama, wystawiona na licytację, w całości nabywcy nie znalazła, pocięta na kawałki płótna – przestała istnieć. Jeszcze coś tam na odwrocie jednej części namalował Jan Styka, reszta przepadła. Jedyne śladem po tym przeogromnym obrazie są zachowane w krakowskim Muzeum Narodowym dwa spore szkice Janowskiego, robione przezeń na Miedzianem.

Ot i wszystko.

Czas kończyć dumania pod Krzyżnem. Nie mam już dalszych wykrętów. Trzeba „spadać”. Tym bardziej, że słońce, które wspięło się właśnie na Miedziane, coraz mocniej przypieka nos i „wysokie” czoło. Szkoda, że na ten szczyt teraz nie można wchodzić turystom. Chętnie byśmy sobie obejrzeni rzeczywistą panoramę Tatr z Miedzianego, skoro rozwiła się jej iluzja w Warszawie. Te bez mała sto lat, które minęły od namalowania jej, to mniej niż mgnienie oka dla gór – nie zmieniły się nic w swym kształcie...

A ze schodzeniem do Pięciu Stawów wcale nie będzie tak źle. Za chwilę odezwie się Wielka Sikława, potem oczy uraduje próg uroczej „wiszącej” Buczynowej Dolinki, powita mnie „Janosikowy Stół” i już u stóp będę miał chlupot Wielkiego Stawu. A w schronisku czekają gościnni Krzeptowscy z ciepłą rabarbarową szarlotką szczerze opudrowaną cukrem. Ruszajmy więc.

A kto zostaje – temu do widzenia. I do spotkania na szlaku!

Tadeusz Riss

Na przydatność danego obszaru dla celów turystycznych składa się wiele cech. Jedną z nich jest urozmaicony krajobraz, o dużej zmienności i kontraście rzeźby. Niewątpliwie odznaczają się nim Karkonosze i być może właśnie ta swoista cecha, wyrażająca się monumentalizmem bryły widocznej z daleka i wysoko wznoszącej się nad otoczeniem, dała asumpt do niemieckiej nazwy Gór Olbrzymich – Riesen-

zapewnia daleki wgląd w krainę nizin lub niższych partii Sudetów. Jeszcze w XIX w. sięgał on po Żagań, Wrocław, Śnieżnik, Pragę, Drezno i Chociebuż. Rosnące jednak, niestety, zanieczyszczenie powietrza znacznie ograniczyło ten krąg, który pierwotnie wynosił 120-150 km. Szczególnie dużą krajobrazową atrakcją są tu kotły polodowcowe, szczególnie Śnieżne. Tylko Karkonosze zostały w plejstocenie prze-

czy poniżej Śnieżnych Kottów. Wśród urwistych skał, od dłuższego czasu stanowiących teren trudnych zimowych wspinaczek, położone są urokliwe stawy i stawki polodowcowe. One to pobudzały fantazję przybyszów przez kilka ładnych wieków. Warto tu przytoczyć najgłośniejszy opis Karkonoszy, pióra Teodora Bilewicza ze Żmudzi, który w 1677 r. z autopsji opisał bezdenne jezioro (Mały

KARKONOSZE CIĄGNĄ JAK MAGNES

gebirge. Wał Karkonoszy widać daleko z pogórzy sudeckich, zaś obecnego w Kotlinie Jeleniogórskiej, u jego podnóża, przylatczają swym ogromem. Nic dziwnego, że już we wczesnych okresach historycznych przyciągały one uwagę i zachęcały śmiałków do wniknięcia w nie. Jest rzeczą absolutnie niemożliwą stwierdzić, kiedy, a tym bardziej – kto pierwszy, jaki odważny człowiek zapuścił się w te góry. Może miało to miejsce już w epoce kamiennej, skoro w wojcieszowskich jaskiniach znaleziono ślady pobytu człowieka neolitycznego, a wysoko w Alpach zamrożone ciało łowcy z tegoż czasu. Być może byli to poszukiwacze cennych minerałów, kruszców i kamieni, którzy wraz z górnikami Harcu pociągnęli w połowie XI w. do Siedmiogrodu na zaproszenie węgierskiego króla Gezy II. Stare tradycje sudeckie mówiły przecież o mistrzu zwanym Laurentius Angelus, który w połowie XII w. miał odkryć miedź i żelazo u stóp Karkonoszy. W późniejszych wiekach Babia Ścieżka koło źródła na zboczu Grabowca była powszechnie uczęszczaną trasą do Czech, zaś w XVII w. naukowo-dydaktyczne wycieczki jeleniogórskich gimnazjalistów stały się rzeczą powszednią. Dowodzi to, że renesans przyniósł zainteresowania pozamerkantylne tymi górami, a wraz z rozwojem uzdrowisk w pobliżu – Cieplic i Świeradowa, przybywało chętnych do poznawania ich okolic. Nie przypadkowo turystyka więc narodziła się u wód i właśnie u podnóża Karkonoszy, jeśli chodzi o tę część Europy. Tego właśnie obszaru dotyczył pierwszy polskojęzyczny przewodnik górski Mattisa z około 1826 r. Tu właśnie też narodził się pierwszy w pełni oryginalny polski przewodnik górski Rozalii Saulsonowej w 1850 r., daleko wcześniej od opracowań dotyczących Tatr czy Beskidów.

modelowane w całych Sudetach jeziorami lodowców, osiagających 8 km długości. Pozostawiły one morenowe usypiska, dobrze widoczne koło „Samotni”, Wangu

albo Wielki Staw). W nim to miał mieszkać Duch Gór – Karkonosz, co następująco zanotował: *Ex traditione* (według tradycji) *powiadają, że diabeł tam tymże*



Schronisko PTTK „Samotnia” nad Małym Stawem w Karkonoszach. Foto: Piotr Mrugański

imieniem co góra Rywenzahl inhabitat (mieszkał), bo saepe apparebat (często się ukazywał). Myśmy go nie widzieli, ale proxime habitante (w pobliżu mieszkający) powiadali, że go immediate (bezpośrednio) przez niedziel kilka widzieli.

Takie i inne gadki, krążące wśród mieszkańców Śląska i okolic, rozchodzące się po Polsce dzięki coraz liczniejszym kuracjom, przyciągały amatorów obejrzenia tych osobliwych gór. Dlatego też właśnie nie przypadkiem tu, pod Karkonoszami, została w 1813 r. zarejestrowana pierwsza na świecie organizacja przewodnicka, a pierwszy znany z nazwiska polski przewodnik górski mieszkał w Sosnowcu i zwał się Jerzy Suchodolski.

Szczególny wpływ na zainteresowanie Karkonoszami wywarła epoka romantyzmu ze swoim zamiłowaniem do nastrojowości, tajemniczości, tzw. dzikiej natury. To wszystko zapewniały wysokie, ale przecież bliskie, łatwe do osiągnięcia góry, w których pogoda zmienia się często i szybko i w których nie brakuje owych romantycznych zakątków w postaci uroczysk, głębokich i ciemnych dolinek, wodospadów, przestojów starodrzewu. Znakomicie pobudzało to i nadal zresztą pobudza fantazję, udostępniając człowiekowi tak coraz bardziej potrzebną dawkę prawdziwej natury.

Także przyroda ożywiona odznacza się tu wysokimi walorami, przy czym odnosi się to szczególnie do świata roślin. Karkonosze jako jedyne pasmo sudeckie nie tylko przekraczają górną granicę lasu, ale osiągają florystyczne piętro alpejskie z całym bogactwem roślin, nie spotykanych gdzie indziej w Sudetach, a nawet w Polsce. Tu też w pełni rozwinęło się piętro kosodrzewiny, które w dużej mierze zajęte zostało przez rozległe torfowiska na zupełnie niemal płaskim grzbiecie granicznym, poprzetykane łąkami wysokogórnymi. Właśnie to one stały się terenem penetracji, co najmniej od XVII w., zbiera-

czy różnych ziół przetwarzanych w niżej leżących miejscowościach – Karpaczu, Miłkowie, Sosnowcu, przez tzw. laborantów na poszukiwane i wysoko cenione lekarstwa, nalewki, likiery. O zamożności tej grupy ludności, oczywiście jej części, świadczą po dziś unikatowe nagrobki laborantów w Miłkowie. Rodzi się tu smutna refleksja, że ten motyw w rysie Karkonoszy, bez wątpienia arcyoryginalny, wykorzystywany szeroko do ostatniej wojny, dziś uległ zupełnemu zapomnieniu. Dowodem tego jest choćby fatalne zaniedbanie stanu domu ostatniego laboranta w Karpaczu, który po wyposażeniu mógłby stać się nieładną atrakcją turystyczną Karkonoszy. Do dziś dużą popularnością w Niemczech cieszy się choćby wspaniały likier „Echt Stonsdorfer”, który zapoczątkowano produkować ponad sto lat temu w Stanisławowie na karkonoskich jagodach i ziołach, z recepturą do dziś utrzymywaną.

Regiel dolny w Karkonoszach, pokrywający je do 900-1000 m, został w zasadzie całkowicie zmieniony i od dziesiątków lat przedstawia sztuczny bór świerkowy. Ostały się tylko nieliczne przestoje drzewostanów liściastych i mieszanych, w tym szczególnie cenna buczyna na Chojniku. Długoletność jednak tego boru sprawia wrażenie, że jest to drzewostan naturalny i tak go postrzegają przybysze i nieświadomi historii lasów sudeckich. Jednakże turystom i wczasowiczom zapewnia to i tak możliwość kontaktu z przyrodą, obcowanie wyłącznie z żywymi lasami i ich mieszkańcami. Niestety, należy tu wskazać na klęskę, jakiej one uległy, a co stało się efektem wieloletniego zanieczyszczenia atmosfery i w konsekwencji naruszenia równowagi ekologicznej w miejscowym środowisku. Dodajmy do tego jeszcze obce pochodzenie nasion sprowadzanych z daleka, nawet z terenów nizinnych, trudne warunki siedliskowe i surowy klimat. Gradacja

wskaźnicy modrzewianeczki, jaka rozwinęła się od 1978 r., przyczyniła się do spustoszenia drzewostanów Gór Izerskich, ale i w Karkonoszach doprowadziła do wylesienia stoków aż po Przeł. Karkonoską, a więc najniższe miejsce w granicznym grzbiecie.

Walory krajobrazowe Karkonoszy, usianych kilkudziesięcioma grupami fantastycznych niekiedy w kształtach skałek, oraz liczne cenne i rzadkie gatunki roślin spowodowały podjęcie decyzji o uznaniu partii przygrzbietowej za park narodowy w 1959 r. Jego granice są dalekie od optymalnego przebiegu, gdyż przez wiele lat większe znaczenie miały zadania produkcyjne lasów aniżeli ochrona środowiska. Dziś z kolei trwa napór organizmów zurbanizowanych na tereny parkowe dla pozyskania atrakcyjnych gruntów budowlanych. Z drugiej strony, władze Parku coraz bardziej ograniczają swobodę poruszania się po nim, co jest zresztą typowe dla niemal wszystkich polskich parków, stwarzając wrażenie, iż są władzami nie p a r k u, lecz m u z e u m. Jest to całkowicie niezgodne z ideą parków narodowych, których jednym z głównych celów jest udostępnienie wybranych, wartościowych fragmentów środowiska dla celów poznawczych i rekreacyjnych społeczeństwa. Mimo zagrożeń, jakie nasiliły się szczególnie w ostatnich kilkunastu latach, przyrodnicza wartość Karkonoszy jest ciągle wysoka. O jej wysokości świadczy możliwość rychłego uznania ich, w połączeniu z czeską częścią, za światowy rezerwat biosfery, tzn. za fragment środowiska szczególnie wartościowy z punktu widzenia globalnego. Nadanie takiego statutu w sposób oczywisty podniosłoby walor turystyczny tych gór, a to oznaczałoby napływ turystów, głównie z krajów bardziej rozwiniętych, o ile nie całego świata, miłośników najwartościowszych zespołów przyrodniczych. Oznacza to dodatkowe szanse dla rozwoju miejscowości podkarkonoskich, o ile przyjezdnych nie wystraszą jakieś dodatkowe restrykcje władz Parku.

Krajobrazowo-przyrodnicze walory Karkonoszy przewyższają walory zimowe. Te drugie są znacznie ograniczone w czasie, zawodne (zależne od charakteru zimy i pogody) i wymagają wspomnienia przez gęste nasycenie infrastrukturą techniczną (wyciągi, obiekty sanitarne, gastronomiczne itp.). Dalsza intensyfikacja ich wykorzystania nie może być prowadzona bez rozległych szkód przyrodniczych. Nie dorównawszy Alpom, zatracić można wartości wynikające z dotychczasowych cech przyrodniczych środowiska.

Krzysztof R. Mazurski

UWAGA CZYTELNICY

„NA SZLAKU”

Z okazji 10-lecia naszego pisma postanowiliśmy zorganizować w dniach 31.05-2.06.96 r. wielkie SPOTKANIE CZYTELNIKÓW I SYMPATYKÓW NA SZLAKU.

Odbędzie się ono w Karkonoszach, w schronisku PTTK „Strzecha Akademicka”. Będzie wiele atrakcji, ale o tym w następnych numerach.

U nas zupełnie nieznaną, w Austrii – wciąż żywa legenda, zajmująca na kartach historii narciarstwa czołowe miejsce. To Matthias Zdarsky, pochodzący ze zniemczonej najprawdopodobniej rodziny. Urodził się bowiem 25.02.1856 r. w Koflichowicach koło morawskiej Jihlavy, w której okolice stanowiły podówczas swoistą wyspę osadnictwa niemieckiego. Mimo pochodzenia z niezbyt wysokich klas społecznych (ojciec był właścicielem młyna, dorabiając się też... dziesięciorga

swego: znalazł rozwiązanie w postaci wiązań ruchomych i regulowanych! Równocześnie przy tym cały czas ćwiczył na stoku i w domu. Uznał w końcu, że swoimi przemysłami i doświadczeniami należy się podzielić z innymi. I oto w 1896 r. ukazała się jego książka „Lilienfeder Skilauftechnik”, osiągając w sumie kilkanaście wydań. Już w roku następnym zaczął szkolić wojsko austriackie według swojej metody, w 1898 r. założył pierwsze Alpejskie Towarzystwo Narciarskie (ASV)

sztuki, psychoanalizy, medycyny. Był przy tym bardzo czynny i ruchliwy, szkoląc za darmo około 20 tys. osób! Sam budowali gospodarzył w Habenreith, które stało się miejscem częstych i licznych wizyt z całego świata. Jednym słowem, była to postać fenomenalna i arcyceikawa. Przeszedł bardzo trudne chwile podczas I wojny światowej, gdy po zmobilizowaniu służył na froncie austriacko-włoskim w Dolomitach jako specjalista w sprawach narciarstwa i lawinowych. Tu właśnie został

TWÓRCA NARCIARSTWA ALPEJSKIEGO W MIĘDZYGÓRZU

dzieci!), chłopiec mierzył wysoko, jak zawsze zresztą później w życiu – pragnął zostać badaczem przyrody. Jednakże nieszczęśliwy wypadek, który uszkodził mu oko, wpłynął na zmianę planów. Przez rok przebywał wówczas w zaciemnionym pokoju, co wszakże wyrobiło u niego zdolność do opanowania i medytacji. Podjął następnie studia na monachijskiej ASP, podróżował nieco po Europie, był też w górach Atlasu. Postanowił osiąść w Alpach, które duchowo najbardziej przypadły mu do gustu. W gminie Marktl, koło miasteczka Lilienfeld w Dolnej Austrii, kupił w 1889 r. niewielkie gospodarstwo o powierzchni 48 ha. I być może toczyłby życie, jak wielu jego sąsiadów, gdyby nie książka Fridtjofa Nansena „Na nartach przez Grenlandię”, która ukazała się w 1891 r. Zelektryzowała go, jak tysiące innych czytelników. Z miejsca zamówił narty i tak się do nich zapalił, że zaraz je po odebraniu z poczty w Marktl założył, by pieszo wrócić do domu. Ale Alpy to nie Skandynawia, stąd wkrótce odczuł trudność w posługiwaniu się nimi. Przynajmniej w tym wszystkim przeszkadzały w szybkim wiązaniu. Szybko więc przystąpił do ich usprawniania. Po około dwustu próbach konstrukcyjnych wreszcie dopiął

w Lilienfeld, w 1905 r. przystąpił do wydawania magazynu „Der Schnee”.

okrutnie poturbowany przez lawinę, ledwo wyszedł z niej z życiem. Dzięki niezwy-



MATHIAS ZDARSKY

kłemu hartowi ducha i nawykowi ćwiczeń fizycznych odzyskał dawną sprawność, niemal do końca swych dni ciężko pracując samemu na gospodarstwie i szkoląc kolejne pokolenia narciarzy. Zły stan zdrowia spowodował w końcu przeniesienie się na Boże Narodzenie 1939 r. do hotelu „Pittner” w St. Pölten, gdzie zmarł 20 czerwca następnego roku. Spoczął na zawsze w cztery dni później na terenie swojej posiadłości. Jego grób i wystawiony później pomnik stale jest odwiedzany przez rzesze miłośników narciarstwa i turystów. Na monumencie, obok płaskorzeźb, wykuto słowa innego wielkiego angielskiego propagatora i historyka narciarstwa: *Zdarsky nigdy nie będzie zdetronizowany ze swej pozycji jako ojciec narciarstwa alpejskiego. Arnold Lunn.*

W stulecie ukazania się pierwszego na świecie podręcznika narciarstwa zjazdowego niezbędne jest włączenie

Był to jednak nie tylko narciarz. Zdarskiego cechowały rozległe zainteresowania: znajomość sportu, techniki,

Matthiasa Zdarskiego do świadomości polskich narciarzy i turystów tak z uwagi na poniesione zasługi, jak i fakt, że poza

Alpami prowadził on kursy tylko w Sudetach. Otóż pierwszy raz zaprosiła go lokalna grupa *Glatzer Gebirgs-Verein* (Kłodzkie Towarzystwo Górskie) z Międzygórza, która postawiła sobie za cel (według posiadanej przez autora oryginalnej ulotki):

– kształcenie w alpejskiej (nazywanej wtedy też lilienfeldzkiej) technice narciarskiej,

– rozwój narciarstwa w hrabstwie kłodzkim i okolicy,

– otwarcie Masywu Śnieżnika dla sportów zimowych.

Wpisowe wynosiło 6 marek (hotel i wyżywienie poza tym na własny koszt!), członkowie *Alpen-Skiverein* – bezpłatnie. Rzecz kilkakrotnie anonsowano w „Der Schnee” i wreszcie kurs odbył się 12-19. 02. 1911 r. Zaraz następnego dnia po zakończeniu Zdarski pojawił się w karkonoskim schronisku „Lučni bouda” po czeskiej stronie, by przez następny tydzień poprowadzić zajęcia dla chętnych z tamtych okolic. Nie było to tylko szkolenie na stoku. Wieczorami instruktor prowadził wykłady i pogawędki na temat narciarstwa, sportu i jego znaczenia dla zdrowia, lawino- i pogodoznawstwa. Spotykał się z oporem w Czechach, gdzie bardziej się interesowano techniką norweską – telemarkiem, przydatniejszą w łagodniejszych niż Alpy górach otaczających Masyw Czeski, w tym w Sudetach. Ale zapadł róż.

W następnym roku musiał znów przyjechać na zaproszenie Ślązaków, by w dniach 28 stycznia – 4 lutego szkolić w Międzygórzu, mając swą bazę w hotelu „Tiroler Hof”. Tym razem zahaczył i o Wrocław, gdzie na zaproszenie *Skiklub Breslau* wygłosił 26 stycznia wieczorem bardzo gorąco przyjęty odczyt. Tym samym działający od 1909 r. Klub zyskiwał szybko sympatyków i nowych członków. Tylko do 1911 r. ich ilość wzrosła z 89 do 130! Nic dziwnego, że i na 1913 r. zaplanowano następny kurs u stóp Śnieżnika. Do jego przygotowania włączyły się, poza wrocławianami, także *Skiklub Grafenschaft Glatz* (a więc z Ziemi Kłodzkiej) i *Skiklub Waldenburg* (wałbrzyskanie). Wydano specjalny folder z fotografiami zimowego Międzygórza, uczestniczek kursu z 1912 r. (na pierwszym planie widać dobrze ćwiczące, uśmiechnięte panie z długimi nartami) i ujęcie z trasy wycieczki. Napisano o sukcesach szkoleniowych Zdarskiego, szczegółach dojazdu do tej miejscowości, kosztach itp. Zalecono też przeczytanie głośnej już wówczas książki. Dodrukowano listę uczestników (!) oraz jej uzupełnienie. Stąd wiemy dziś, iż stawiły

się 183 osoby (według drukowanego sprawozdania jednego z kursantów, dr. Rennera, gdyż zgłoszeń było 187). Przeważali przybysze z Dolnego i środkowego Śląska, szczególnie sporo było oczywiście z Ziemi Kłodzkiej. Ale pojawili się też kandydaci z Brna (cała grupka), Ołomuńca, Opawy, Pragi i Berlina, a nawet... Londynu (por. Churchill-Longman) i Filadelfii (miss Patterson)! A kto jeszcze był wśród nich? Wymieńmy choćby prof. Heinela z Wrocławia, prof. Fritza Hirtha i Ilse Kellner z Brna, państwo Lubowskich z Wrocławia, Adelę Gutwińską z Šumperka (krewna znanego z tego terenu dra Gutwińskiego, o którym wzmiankowałem w przewodniku „Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie”), dr. Jaenisch z żoną i córką – osobą, która przekształciła zapadłą miścinę w popularną stację klimatyczną, wówczas już chyba koło sześćdziesiątki, panią dr Rodekiewicz z Wiednia, prof. Wilhelma Wagenbacha z wrocławskiej Wyższej Szkoły Technicznej i... pannę Nellę Zdarski, niechybnie siostrę lub bratanicę Mistrza! Taki tłumny wręcz udział uzyskano dzięki szybko rosnącej popularności nart i sławie Zdarskiego, bez żadnego publicznego naboru. Wspomniany sprawozdawca napisał wręcz, iż te sukcesy zawdzięcza się *naszemu kochanemu staremu mistrzowi Zdarskiemu*. Entuzjazm był wszechogarniający. Kursanci ćwiczyli zapamiętale, nie przerywając zajęć terenowych nawet podczas burzowych ostatnich dni stycznia. A przedostatniego dnia wybrano się na „zaliczeniową” wycieczkę na szczyt Śnieżnika. Umawiano się też na następną zimę.

Wszelako w 1914 r. Zdarski nie przyjechał, widocznie uznał, iż sprawy w Sudetach toczą się prawidłowo. Poza tym już czuć chyba było w powietrzu nad-

ciągającą „wielką wojnę białych ludzi”.

Skąd takie sukcesy Zdarskiego? Otóż postrzegał on narciarstwo jako sposób na życie, na zdrowie, a nie jako sposób rywalizacji sportowej, jak to najczęściej dzisiaj traktuje się skandynawski pomysł na deski. Wszechstronność umysłu twórcy techniki alpejskiej pozwoliła przyjąć jako fizjologiczną przesłankę owego sposobu pokonywania stoków gór wysokich naturalną samokoordynację w rytmie galopu. Podbudował on to analizą zachowań w terenie i własną praktyką. Faktycznie więc dokonania życiowe Zdarskiego wykraczają daleko poza sferę sportów zimowych i godne są zająć wysoką pozycję w historii kultury naszego kontynentu. Można się z nimi naocznie zapoznać zarówno w dotychczas istniejącej i troskliwie chronionej posiadłości, jak i specjalnym dziale w muzeum regionalnym w Lilienfeld. Miasteczko leży zresztą blisko słynnego ośrodka pielgrzymkowego Mariaszell, o którym pisaliśmy na tych łamach (1993/10). Działa też towarzystwo jemu poświęcone: *Zdarsky-Gesellschaft*, A – 3180 Lilienfeld, Postfach 10.

Przy okazji rodzi się refleksja, iż warto by było uczcić jakoś trwale tego wybitnego człowieka właśnie w Międzygórzu. Nie jestem zwolennikiem tablic pamiątkowych na każdą okazję i w nadmiarze, ale akurat Zdarski zasługuje na to ze wszech miar. A do kogo to adresuję? Oczywiście do pomysłów i niezwykle aktywnych działaczy Oddziału PTTK w Międzygórzu! Aż się prosi, by tablica zawisła (może uda się jeszcze w tym roku?) na ścianie jego tamtejszej kursowej bazy. Służę niezbędnymi dalszymi szczegółami biograficznymi. Mija bowiem zarazem 140-lecie urodzin Zdarskiego!

Krzysztof R. Mazurski



Przy Wodospadzie Wilczki w Międzygórzu. Foto: Piotr Dacko

Przełęcz Edwarda Rydza Śmigłego (800 m) – ta wielce oryginalnie zawieszona pomiędzy wyniosłym masywem Mogielicy (1170 m) a niewiele od niej mniejszym Łopieniem (951 m), przełęcz należy do urokliwych zakątków w Bes-

czura za każdym razem skreślała nazwę przełęczy, zostawiając przy poziomicy 800 metrów puste i bezimienne, a jakże przykre miejsce.

Nie dało się jednak przekreślić historii i silnych związków Edwarda Ry-

SIEMASZKOWA TABLICA



Tablica upamiętniająca Waldemara Siemaszkę w „Samotni” przed odsłonięciem
Foto. Zenon Szymankiewicz

Wydaje się – tak niedawno pisaliśmy o tragicznej śmierci Waldemara Siemaszki, który dwadzieścia osiem lat gazdował na schronisku PTTK „Samotnia” nad Małym Stawem w Karconoszach. O upływającym czasie, który wszakże nie zaciera o Nim pamięci, świadczy odsłonięcie tablicy pamiątkowej właśnie w tym obiekcie. Stało się to z inicjatywy poznaniaków, którzy nie pierwszy raz dają dowód konkretnego zaangażowania Sudetami. Klub Górski „Koliba” przy Oddziale PTTK w Zakładach H. Cegielskiego ufundował i wykonał estetyczną tablicę, którą odsłonięto w gronie znajomych i sympatyków Waldka 20.10.1995 r. w Sali pod Dzwonem. Jej treść brzmi następująco:

W latach 1966-1994
gospodarzem „Samotni” był wielki
przyjaciel turystów i goprowiec
Waldemar Siemaszko
20.08.1931 – 10.02.1994.
KG „Koliba”, Poznań 1995.

Jej projektantem jest poznaniak Marian Banasiewicz, zaś odsłonięcia dokonała córka zmarłego, Magda. Klubowy prezes – Tomasz Borowski, mówił zaś o życiu i działalności Siemaszki, który pochodzący ze wschodnich kresów, przybył pod Sudety, do Lubania, za swoim ojcem, który był oficerem 2 Armii WP – a ona właśnie zasiedlała ówczesne ziemie odzyskane.

KARPACKIE PRZEŁĘCZE (13)

kidzie Wyspowym. Sam zaś Beskid Wyspowy to stale czekająca „na odkrycie” grupa Karpat – nadmiernie dziś przyćmiona sławą Tatr, Sądeckich czy Żywiecczych. Chociaż jak żaden rejon Beskid Wyspowy jest dostępny komunikacyjnie – nie oferuje turystyki łatwej, a strome kopce o pokaźnych różnicach wzniesień, często nie mniejszych niż 500 metrów, a przy tym brak schronisk – stanowią surową szkołę zwłaszcza dla początkujących adeptów plecaka.

Wspomniane obniżenie rozdzielające dwie „wyspowe” wsie – Jurków i Słopnice przez szereg lat z wielką trudnością tolerowało swoją nazewniczą drogę. Wystawione tu w 1938 r. a fundowane przez społeczeństwo limanowskie – kamienny obiekt i kapliczka, poświęcone Edwardowi Rydzowi Śmigłemu, jednemu z najbardziej zasłużonych dowódców polskiego wojska z lat I wojny światowej i wojny bolszewickiej 1920 roku – jakoś nie mogły się przebić na łamy turystycznej literatury.

Gdy na początku lat osiemdziesiątych poprawiałem kilkakrotnie treść turystyczną archaicznego mapy turystycznej „Beskid Wyspowy” w skali 1:125 000,

dza Śmigłego ze słynną operacją limanowską I wojny światowej z roku 1914. Dziś już bez przeszkód można wspominać i mówić o przełęczy pod właściwą nazwą, co zostało utrwalone w przewodnikach i na ostatniej mapie turystycznej Beskidu Wyspowego w skali 1:75 000 wydanej przez Wojskowe Zakłady Kartograficzne w Warszawie. Obelisk i kapliczka otaczane są stałą opieką przez okoliczną ludność.

W czasie wędrówki zielonym szlakiem na Mogielicę z Dobrej, po zejściu z Łopienia osiągamy pokaźny płaskowyż zajęty przez połacie łąk, w którego najniższym punkcie – na przełęczy przewija się lokalna droga z Jurkowa-Chyszówek do Słopnic Królewskich. Odkryty teren, w samym sercu Beskidu Wyspowego, ukazuje nam z bliska potężną kulminację Ćwilińska (1072 m), a obelisk z kapliczką dopełniają malowniczości całego zakątka.

Przełęcz Edwarda Rydza Śmigłego można również odwiedzić przy okazji innych wycieczek – jako że z Jurkowa mamy niebieski szlak, a ze Słopnic Królewskich znaki żółte, obydwa na „królową” Beskidu Wyspowego – Mogielicę.

Andrzej Matuszczyk



Foto: Zdzisław J. Zieliński

DO LANCKORONY O KAŻDEJ PORZE ROKU...

Lanckorona to szczególnie ulubiona przez wrażliwych na piękno krajoznawców i turystów wieś letniskowa na południowych zboczach Lanckorońskiej Góry (545 m), na pograniczu Beskidu Średniego i Pogórza Wielickiego. Do Krakowa stąd mniej niż 50 km. Prace archeologiczne, prowadzone tutaj w latach 60. i 70., dowiodły, że początki osady „Villa Hermani” sięgają przełomu XII i XIII w. Czym Lanckorona wabi dzisiaj? Zespołem małomiasteczkowej zabudowy drewnianej, kościołem z XIV w., ruinami obronnego zamku na pobliskiej Lanckorońskiej Górze...

Jest przede wszystkim Lanckorona jednym z wybitnych przykładów zabytkowych zespołów urbanistycznych związanych ze średniowiecznymi lokacjami na prawie magdeburskim. Lokacje te sytuowały przeważnie rynek na miejscu pierwotnego centrum osadniczego.

Badacz dziejów Lanckorony za okres XVIII i XIX w. – Franciszek Sypowski, tak pisał o nieodpartym uroku tutejszego Rynku i jego zabudowie: *...Naokoło kwadratowego Rynku o długości 80 m, a szerokości 70 m, stały mieszkalne domy drewniane (...). Przed każdym domem były z frontu tzw. podcienia o szerokości 2 m, nakryte dachem domu. (...) Podcienia te nakrywały trotuar tak, że przechodnie naokoło całego Rynku nie potrzebowali w czasie deszczu używać parasoli. W dniach targowych rozkładali kupcy na tych podcieniach towary, przywiezione na wozach, które znów kryły się w obszernych sieniach domów, gdyż prawie do każdego z nich prowadziła szeroka brama wjazdowa. Zabudowania tego rodzaju świadczyły o staranności mieszczan (...). Na główne, czyli walne jarmarki, których było w Lanckoronie pięć w roku – przyjeżdżali kupcy z dalszych miast... Cytat powyższy pochodzi z książki „Ziemia Wadowicka” wybitnego krajoznawcy i badacza Beskidów, w tym także okolic Lanckorony, Aleksego Siemionowa.*

Spacerując z lanckorońskiego Rynku pod ruiny zamku, wystawionego na Lanckorońskiej Górze w latach 1336-60 przez Kazimierza Wielkiego, przechodzimy obok kościoła parafialnego, również fundacji najznamienitszego z polskich królów, który to zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Na zewnętrznej stronie prezbiterium świątyni wielce oryginalna Golgota. Kościół lanckoroński, wielokrotnie na skutek pożarów przebudowywany, z okresu fundacji z XIV w.

zachował jedynie część murów oraz wieży.

We wnętrzu zwraca uwagę wczesnobarokowy ołtarz główny i boczny ołtarz rokokowy z 1762 r. z obrazem św. Sebastiana, namalowanym przez Łukasza Orłowskiego z Krakowa. W kaplicy można zobaczyć późnobarokowy ołtarz z 1 poł. XVIII w. Ponadto w wyposażeniu świątyni znajdują się epitafia z XVII w., dzwon z 1550 r., barokowy krucyfiks i posąg św. Wojciecha, wreszcie obraz na desce św. Anny Samotrzeciej z początku XVIII w.

Koło kościoła w Lanckoronie bez wątpienia musiał przechodzić Stanisław Staszic, tak oto pod datą 1.06.1797 r. wspominający o wycieczce: *...Wbiegłem na zamek Lanckorony. Widziałem kościół Św. Trójcy, dokąd z kawaleriją wypadł i gdzie zginął młody Sapieha. Góra Lancko-*

rony, jedna z najstosowniejszych do owarowania. Przystęp ze wszystkich stron do niej trudny. Rozległość jej jest do umieszczenia kilku tysięcy ludzi, ma wody żródlane, ma kamienia twarde wanty...

Dziś – jak mawiał Staszic – „przystęp” do Lanckorony stał się zupełnie łatwy, a nitki asfaltowych dróg od strony Izdebnika, Brodów, Sułkowic z Jastrzębia czy Skawinek czynią wybór dojazdu tutaj tyle malowniczy, co różnorodny. To także węzeł szlaków turystycznych w szczególnie malowniczym punkcie Beskidu Średniego.

Odwiedzając tamtejszy Rynek nie zapomnijmy także o ciekawym muzeum utworzonym z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Lanckorony A więc do Lanckorony – samochodem lub pieszo!

Andrzej Matuszczyk



Najstarsza we Wrocławiu PIWIARNIA POD CHMIELEM

zaprasza na
pyszne, zimne piwo
oraz niedrogie śniadania,
obiady i kolacje.

PIWIARNIA POD CHMIELEM

to tradycyjne miejsce spotkań studentów Uniwersytetu Wrocławskiego. Bywają tu także znane osobistości odwiedzające Wrocław, np. ostatnio Vaclav Havel.

Zapraszamy!!!

To tylko 5 minut od Rynku

Piwiarnia jest czynna w godz. 10-21

ul. Odrzańska 17, 50-113 Wrocław

tel. 44-63-40



Polaków traktuje się na Korsyce niezwykle życzliwie, widząc w nas zwyczajnie masowego ruchu turystów, dla których równie ważna jest egzotyka miejsca, jak i fakt, iż na wyspie urodził się Napoleon Bonaparte (nawiasem mówiąc, Korsykanie nie lubią tej postaci, bowiem wcześniej opuścił wyspę, potem zaś mimo ogromnej władzy nic dobrego dla jej mieszkańców nie uczynił). Tymczasem w ubiegłym roku odwiedziło Korsykę raptem 2 – 3 tys. na-

zakładach przemysłowych (na całej wyspie jest ponoć tylko jeden komin fabryczny).

Właśnie owa kryształowa czystość powietrza i krajobraz bez brutalnej ingerencji człowieka stanowią niepowtarzalny walor wyspy. Nawet w pełni sezonu można znaleźć tu pustą plażę: w południowej części (departament Ajaccio) w krasowej scenerii wapiennych wzgórz, w północnej – w surowszej scenerii skalnej. Plaży prywatnych na wyspie nie ma.

Gościom proponuje się pobyty tygodniowe i dłuższe (powyżej trzech tygodni – tydzień za darmo), tury objazdowe, wyprawy wysokogórskie, wspinaczkę, spacerowanie morskie i na osiołkach, kursy nurkowania, windsurfing, paralotnie, turystykę rowerową, górskie rajdy samochodowe i niezwykle modny ostatnio kanioning – zejścia potokami górskimi w specjalnych kombinizonach.

Bastia. Liczy 45 tys. mieszkańców.

CZY POLACY „PODBIJA” KORSYKĘ?

szych rodaków; tutejsze gazety optymistycznie liczą na wzrost tej liczby do 100 000 i to już niebawem.

Z myślą o promocji walorów wyspy Centrum Informacji Turystycznej w Calvi, której dyrektorem jest Aline Kauffmann, podjęło się organizacji pierwszego na wyspie stady tour dla polskich turoperatorów i dziennikarzy. Sponsorami ze strony francuskiej byli również organizatorzy turystyki i restauratorzy w Bastii i Porto oraz CORSICA FERRIES, która udostępniła swój największy i najbardziej komfortowy prom CORSICA VICTORIA na trasie Genua – Bastia (wraz z luksusowymi kabinami) i Bastia – Livorno, zapraszając równocześnie na wykwiłtne posiłki na pokładzie restauracyjnym.

Gościom proponuje się pobyty tygodniowe i dłuższe (powyżej trzech tygodni – tydzień za darmo), tury objazdowe, wyprawy wysokogórskie, wspinaczkę, spacerowanie morskie i na osiołkach, kursy nurkowania, windsurfing, paralotnie, turystykę rowerową, górskie rajdy samochodowe i niezwykle modny ostatnio kanioning – zejścia potokami górskimi w specjalnych kombinizonach.

Workshopy w Bastii, Porto i Calvi, z licznym udziałem miejscowych organizatorów turystyki oraz gestorów nadmorskiej bazy hotelowej i rekreacyjnej, potwierdziły duże zainteresowanie pozyskaniem naszych turystów. Okazało się, że w północnej części, zajmującej dokładnie połowę całej powierzchni Korsyki, jest tylko jeden hotel czterogwiazdkowy (w Calvi) – reszta posiada 1, 2 i 3 gwiazdki: są to budynki kameralne, nowoczesnie wyposażone, lecz zachowujące tradycyjny, lokalny charakter architektoniczny, dysponują średnio 14–20 pokojami. Istnieje wręcz zakaz wnoszenia na wyspie wieżowców, nie mówiąc już o uciążliwych ekologicznie

Wyspę wypełniają masywy liczące ponad 60 szczytów, z których największy wznosi się na wysokość 2700 m n. p. m. To kraj pasterzy, o wilgotnym klimacie, bogatej podzwrotnikowej roślinności. Palmy na wybrzeżu, cyprysy, drzewa cedrowe, kasztanowe, eukaliptusy, figi, gaje oliwne i cytrusowe to zaledwie kilka spośród tysięcy gatunków flory. Niezwykle bogata jest i fauna. Na przykład okolice Porto wraz z dużym pasem morskim uznano za jeden z największych w Europie rezerwatów wodno-łądowych. Można go zwiedzać wyłącznie od strony zatoki, dokąd na rejsy spacerowe zapraszają stateczki o przezroczystym dnie, dzięki któremu można obserwować nie tylko dziewiczą przyrodę urwistego wybrzeża czy niezliczone gatunki ptactwa, ale i barwne życie podwodne.

Historia wyspy liczy 9 tysięcy lat. Odkryte tu menhiry – kamienne pomniki postaci ludzkich, pochodzą sprzed 7000 lat p.n.e., w 565 r. przybyli tu Grecy, następnie Rzymianie, Kartagińczycy, Pizzanie, Genuńczycy, Anglicy, a następnie Francuzi. Ślady bogatej przeszłości zachowały się do dziś na całej wyspie. Korsyka, licząca 200 km długości i 80 km szerokości, ma dzisiaj tylko 240 tys. stałych mieszkańców (gdy na początku było ich 600 tys.).

Baza noclegowa jest bardzo różnorodna – od wspomnianych hoteli i hotelików przez bungalowy po pola kempingowe (na Cap Corse pokazywano nam zakątek, gdzie każde z miejsc kempingowych oddzielone jest od sąsiedniego żywopłotem dwumetrowej wysokości). Wiele jest specjalnych wiosek wakacyjnych wyspecjalizowanych w przyjmowaniu całych rodzin.

Sposób żywienia dowolny: trzy posiłki, półpensja, tylko śniadanie, lub – jak w apartamentach i bungalowach – możliwość skorzystania z kuchenki i zakupów w najbliższym supermarkecie.

Założona została przez gubernatora geneueńskiego w 1380 r. Najstarsza część miasta na wzgórzu Terra Nova zachowała mury cytadeli, zespoły średniowiecznych kamienic, kościoły i pałac gubernatora. W sezonie do przystani promowej przypląwa dziennie 10 pełnomorskich statków pasażerskich. Na pobliskim placu Św. Mikołaja (jednym z 12 największych we Francji) witają turystę secesyjne restauracyjki i barki, kusząc nie tylko stylowym ciepłem wnętrza, ale wylegającymi w głąb placu ogródkami. Stąd dwa kroki do XVI-XVII-wiecznej części miasta: do starego portu, wąskich uliczek, kamieniczek mieszczańskich, oryginalnych sklepików i trzech barokowych kościołów (Św. Jana, Św. Rocha i Niepokalanego Poczęcia, który podczas dwuletniej okupacji wyspy przez Anglików był siedzibą lokalnego angielskiego parlamentu).

Kontakt: Bastia Office Municipal du Tourisme, tel. 95-03-08.

Cap Corse. Z drogi z Bastii prowadzącej nadmorskim urwiskiem można dostrzec Elbę. Widać stąd też fragmenty paru spośród 97 istniejących na wyspie baszt geneueńskich – ich sieć wzdłuż całego wybrzeża to wypróbowany średniowieczny system sygnalizowania o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Po drodze Lavasina: 8 września docierają tu pielgrzymi z całej Korsyki. W głąb wyspy od czasu do czasu prowadzą szlaki turystyczne. Kamienne łupki o odcieniu seledynowym nadają okolicy specyficznego kolorytu, są też dominującym materiałem budowlanym. Górskie stoki pokrywają gęstsze niskopiennego macchia. W kwietniu, gdy kwitną biało, niebiesko i różowo, wyspa wygląda szczególnie pięknie. Atrakcją jest poszukiwanie jeży morskich na kamienistych plażach i w dzikich zatoczkach; upieczone w ognisku są podob-

no bardzo smaczne. Polecamy tu studia w hotelu de La Marine. Ceny od 1100 FF do 2600 FF dla dwóch osób + śniadanie. Dla touroperatorów 20 % zniżki.

Kontakt: Santa Severa 20228 LURI tel./ fax 95-35-01-06.

Porto. Położone na zachodnim wybrzeżu nad jedną z najgłębszych zatok Morza Śródziemnego (1850 m!) otoczone jest wyniosłymi skałami granitowymi o różowym odcieniu i niesamowitych kształtach. Na przestrzeni wielu kilometrów okolica jest niemal pusta. W Porto mieszka na stałe zaledwie 200 osób. Budowane jest praktycznie od lat sześćdziesiątych tego wieku, niemal w całości z miejscowego kamienia przybierającego w słońcu wręcz ognistych odcieni. Wolnej przestrzeni jest tu niewiele, toteż budynki ciasno wtulone są w ściany wąwozów, współpracując wyjątkowy charakter tego miejsca. Sezon trwa tu od kwietnia do połowy października, najdrożej jest w sierpniu, wówczas jest tu również najgoręcej (woda 26°, powietrze 30-32° C). Dzienna taksa klimatyczna wynosi 5 FF. Pokój dwuosobowy w hotelu 2-gwiazdkowym (np. w Monte Roso) kosztuje dziennie ok. 240 FF (bez wyżywienia) i 340 FF z półpensją, w 3-gwiazdkowym Le Romantique poza sezonem 250 + 30 FF śniadanie lub 480 FF z półpensją dla dwóch osób. W 1-gwiazdkowym Brise de Mer od kwietnia do czerwca oraz we wrześniu 200 FF na osobę z półpensją, jednak to samo w lipcu kosztuje już 450 FF, a w sierpniu 520 FF (wszystkie pokoje mają WC, prysznic). Z kolei w Bon Accueil przez cały sezon cena jest jednakowa: pokój 2-osobowy 400 FF. Turoperatorom oferuje się na ogół 10 % zniżki. To popularna baza kanioningu oraz wypraw do wspaniałego rezerwatu Scandola (5-godzinna przejażdżka statkiem spacerowym dla jednej osoby, połączona z 2-godzinnyim postojem, kosztuje 120 FF). Lubiący nurkowanie mogą zwiedzać tu podwodne groty i z bliska oglądać świat podwodny. Na 3-gwiazdkowym kempingu Les Oliviers można z powodzeniem porozumieć się po polsku. Les Oliviers otwarty jest od 30 marca do końca listopada, tel. 95-26-14-49, fax 95-26-12-49, 20150 PORTO, Corse.

Calvi. Miasto usytuowane na północy wyspy istniało przed 1278 r., kiedy to przeszło pod panowanie Genuńczyków. Chłubi się, iż tu właśnie urodził się Krzysztof Kolumb i ma na to wiele historycznych dowodów. Spędził tu ostatnie miesiące przed emigracją Napoleon Bonaparte. Tutejsza cytadela była często oblegana przez Turków, Anglików, Francuzów. Dziś jest modną miejscowością wypoczynkową, urzekającą przybysza bogatą architekturą, wspaniałą plażą i wyniosłymi szczytami, na których przez wiele mie-

sięcy leży śnieg. Odbywa się tu słynny festiwal jazzowy. Jakkolwiek w architekturze starej Calvi dominuje barok, jednak nie brak tu fortyfikacji i zabudowań XIII-XIV-wiecznych, a w okolicy nawet romańskich z XII wieku (z czasów dominacji Pizy). Okolice Calvi to także największy sad Korsyki. W licznych hotelach od ceny oficjalnej (różnej zależnie od pory roku) odlicza się na ogół 10 % dla biur podróży lub 20 % dla touroperatorów. Istnieje też możliwość wyczerterowania określonej liczby pokoi w określonym czasie: wówczas operator ponosi ryzyko sprzedaży miejsc, ale za to zniżka za miejsce może osiągnąć do 35 % ceny nominalnej. Miejscowe biura oferują też wycieczki autokarowe po Korsyce, przy czym obowiązują zasadą, że na każde 27 osób jedna jedzie za darmo.

Wszelkich informacji udziela Office Municipal du Tourisme Port de Plaisance 20 260 CALVI tel. 95-65-16-67, fax 95-65-14-09.

Adresy hoteli udostępniamy też w redakcji TTG Poland.

Firma promowa **Corsika Ferries** powstała przed 27 laty. Pasażerów obsługiwał początkowo jeden statek. Dziś firma dysponuje 8 promami, lecz jeszcze w tym sezonie zamierza wprowadzić do ruchu pasażerskiego 3 jednostki o nazwie Ferrie Express (wodoloty), które łączyć będą wybrzeże z wyspą w czasie o połowę krótszym niż dotychczasowe promy. Na przykład trasę Genua - Bastia pokonywać będą w 3, 5 godz., gdy prom płynie tu 6 (w dzień) do 9 godzin w nocy (celowo dłużej, by płynący pasażerowie mogli wyspani wysiąść na Korsyce).

Obecnie flota tego przewoźnika łączy z lądem Sycylię, Elbę i Korsykę (trasę na te wyspy obsługują odrębne linie o nazwie Sardinia Ferries, Elba Ferries i Corsica Ferries). W ubiegłym roku przewiozły one łącznie 1200 tys. pasażerów (głównie Włochów, potem Niemców, a ostatnio coraz liczniej Francuzów) oraz 400 tys. samochodów. W celu ograniczenia ruchu kołowego na wyspach wiele linii promowych zrezygnowało z pobierania opłat od autokarów przewożących co najmniej 20 osób, co dla naszych biur powinno być bardzo interesujące. Ma to zachęcić indywidualnych turystów do rezygnacji z przyjazdu samochodem osobowym (za który opłata jest nadal pobierana). Wynajęcie samochodu na 3 dni kosztuje w firmie Avis Corse 770 FF.

Największym statkiem armatora jest „Corsica Victoria”. Przewozi 1700 pasażerów i 480 samochodów. Do dyspozycji podróżnych są dwa baseny (otwarty i kryty), kino, restauracja, bar szybkiej obsługi, kawiarnia, dyskoteka, sauna,

butiki, klimatyzowane, wysoko standardowe kajuty, leżaki.

Cena biletu na trasie Livorno - Bastia od 130 FF poza sezonem do 180 FF w pełni sezonu. Dzieci do lat czterech nie płacą nic, a do lat 11 połowę ceny. Pies - 50 FF, kajuta - apartament dla 1 lub 2 osób od 555 do 680 FF, a najtańsza kabina dla 1-3 osób od 150 do 285 FF. Samochód od 150 do 780 FF. Do ceny dolicza się ponadto 30 FF podatku, ewentualnie 50 FF za rezerwację.

Linie na Korsykę z miast włoskich obsługuje również dysponująca czterema statkami CORSICA MARITTIMA, której przedstawicieli gościliśmy w Warszawie na 1 TTG POLISH TRAVEL MART w 1992 r.

(„Travel Trade Gazette Poland”)

Górale na Bóbr!

Komitet Organizacyjny Międzynarodowego Spływu Kajakowego na rzece Bóbr zaprasza na imprezę, która odbędzie się w dniach 23-26 maja 1996 r. Trasa spływu obejmuje 103 km rzeki o charakterze górskim w czterech etapach:

- I - Lwówek Śląski - Bolesławiec
- II - Bolesławiec - Stara Oleszna
- III - Stara Oleszna - Szprotawa
- IV - Szprotawa - Żagań (meta).

Uczestnicy płyną na własnym sprzęcie (kajaki sztynne, składane i kanadyjki), a także sami zapewniają sprzęt biwakowy (namioty, przyczepy campingowe). Wyżywienie we własnym zakresie. Organizatorzy deklarują przewóz bagażu i rzeczy osobistych na trasie imprezy, okolicznościowe pamiątki, opiekę lekarską, szereg imprez towarzyszących (program krajoznawczy i rekreacyjny, konkursy, kiermasze, pokazy i inne), możliwość zdobycia licznych pucharów i nagród, miejsca biwakowe z bufetami oraz inne atrakcje. Zgłoszenia uczestników prosimy nadsyłać najpóźniej do dnia 31.03.1996 r. na adres: Komitet Organizacyjny MSK na Bobrze, ZO PTTK 58-500 Jelenia Góra, ul. 1 Maja 88. Pod tym adresem można również wcześniej uzyskać dodatkowe informacje i ewentualne wyjaśnienia.

KOSZT UCZESTNICTWA:

W powyższym terminie należy wpłacić wpisowe na konto ZO PTTK - adres jw. - Bank Zachodni Oddział Jelenia Góra 382207-1964-132-300 w wysokości:

- 10 zł - przodownicy turystyki kajakowej PTTK, instruktorzy PZK, ratownicy WOPR
- 5 zł - uczniowie, studenci, wojsko
- 15 zł - pozostali uczestnicy
- 25 DM - turyści zagraniczni (równowartość)

2,5 zł - opłaty inne dokonywane na starcie (np. zmiany składu, przepustka parkingowa, etapowy przewóz kierowców - uczestników).

Uczestnicy na start i do weryfikacji powinni się zgłosić do Biura Spływu w dniu 22 maja, najpóźniej do godz. 21.00 na basenie kąpielowym w miejscowości Lwówek Śląski, 30 km na północ od Jeleniej Góry. Istnieje połączenie kolejowe Lwówka Śląskiego na linii kolejowej Jelenia Góra - Zielona Góra - Kostrzyn - Szczecin. Do zobaczenia na ciekawej imprezie, na interesującej rzece Bóbr.

KOMANDOR SPŁYWU
Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego
Andrzej Strycharczyk

FITZ ROY – „EN SUEÑO”

Do najciekawszych realizacji bogatego w sukcesy lata 1995 r. w Patagonii należy bez wątpienia nowa droga na Fitz Roy (Chaltel, 3441 m), którą w dniach 22-28 stycznia poprowadzili Włosi Andrea Sarchi, Lorenzo Nadali i Mauro Girardi. Wiedzie ona nie przechodzoną dotąd ścianą północno-zachodnią, głównie na lewo od tzw. Wielkiego Filara. Zaczyna się 200-metrowym polem śnieżnym w wylocie Gran Canaleta, skąd wywija się w prawo. Łącznie pokonuje 1500 m wysokości przy 2500 długości, z czego 340 m są wspólne z Super Canaletą. Kluczowe odcinki są bardzo trudne (6c/7a), ale nie brak też partii względnie łatwych (IV-V). Można powiedzieć, że droga „puściła” klasycznie – A1 odnotowano tylko raz, na 13 wyciągu. Do asekuracji używano prawie wyłącznie kostek i friendów. Wejścia dokonano stylem alpejskim, szczyt osiągając dnia 26 stycznia o godz. 20.15. W pierwszych dniach pogoda dopisywała, potem uległa pogorszeniu, miejsca biwakowe były „jak na zamówienie”. Andrea Sarchi już w 1993 r. próbował wejść tą ścianą – wraz z Pietro Dal Prą zrobił wówczas 11 wyciągów. „W naszej ocenie – mówią trzej Włosi – jest to jedna z najbardziej interesujących skalnych dróg całego masywu i zasługuje bez wątpienia na to, by stać się jedną z najpopularniejszych. Schemat 45-wyciągowej drogi – w 3 „stłupkach” – zamieściła „La Rivista del CAI” 5-6/1995.

EVEREST: KOBIECY BEZ TLENU

Główną sensację wiosny na Everestcie stanowiło wejście Angielki, Alison Jane Hargreaves (wymowa w uproszczeniu Hergrejws). Wyprawę odbyła ona w pojedynkę, bez tlenu i bez żadnej pomocy z zewnątrz, choć siłą rzeczy musiała poruszać się równolegle z innymi zespołami. Biwakowała w niesionym namiocie, po południu 12 maja rozbiła go jako swój obóz III (8300 m). Do szczytu wyruszyła o 4.40 rano, a o 7 była pomiędzy oboma „stopniami”. O 12.08 osiągnęła szczyt, na którym bawili właśnie Włosi Bianchi i Kuntner. W tym samym dniu – był to 13 maja – wróciła do swojego „obozu II” na wysokości 7800 m, by już nazajutrz

zameldować się w bazie. Alison ma dwoje dzieci (6 i 4), z którymi rozmawiała ze szczytu. Jest ona aktualnie zdecydowanie najlepszą alpinistką świata. Pamięamy jej zdumiewający sezon letni 1993 w Alpach, kiedy przeszła samotnie 6 północnych ścian, m.in. Eigeru, Matterhornu, Jorasses (dwoma drogami).

Prasa światowa okrzyknęła jej wspinaczkę na Everest „pierwszym kobiecym wejściem bez tlenu”. Nie jest to całkiem słuszne. Na liście zdobywczyń Everestu pod datą 14 X 1988 r. figuruje 27-letnia Nowozelanka Lydia Bradey, która wspiniała się również bez aparatury tlenowej. Z wejściem tym wiązały się pewne wątpliwości, rozstrzygnięto je jednak kiedyś na jej korzyść. Skoro tak, uznany został również styl jej wejścia, *notabene* wówczas nie kwestionowany. Zapytana o ten problem Lydia powiedziała: I'm totally pleased that Alison did it. I'd like to be accepted that I climbed it, that's all". Jeśli chodzi o flankę północną, w zasadzie bez tlenu weszła nią w maju 1975 r. Tybetanka Phanthog – kilka łyków z butli na jednym z wysokich postoi trudno kwalifikować jako wejście „z tlenem”. Tak więc w przypadku Alison można mówić co najwyżej o kobiecym wejściu bez tlenu – pierwszym zupełnie czystym i nie obciążonym kontrowersjami.

KANCZ W 40 LAT PÓŹNIEJ

Jedną po drugiej następują rocznice, jakże ważnych w historii alpinizmu wydarzeń: francuska „Annapurna 40”, brytyjska „Mount Everest 40”, włoski „K2 40”... Wiosną ub. roku minęło 40 lat od chwili, kiedy stopa ludzka stanęła na trzeciej górze Ziemi, Kangechenjundze (8586 m): 25 maja 1955 r. znaleźli się na tym wysokim i trudnym szczycie George Band i Joe Brown, a w południe następnego dnia wejście powtórzyli Tony Streater i Nowozelandczyk Norman Hardie – still 5 feet from the Gods. Wyprawa pomyślana była jako rekonesans, a tymczasem zrealizowała marzenie pokoleń himalaistów i zdobyła szczyt.

Mimo świetnego stylu wejścia i stawy góry, organizatorzy skromnie nie zabiegali o rozgłos, obecnie zaś zaplanowali równie skromny jubileusz: trekking

weteranów wyprawy do stóp „ich” szczytu. Okazało się jednak, że większość uczestników przyjęła ten projekt bez entuzjazmu. Np. Joe Brown oświadczył, że woli pojechać na ryby, Streater zaś został odwołany przez rodzinę będąc już w Katmandu. Jubileuszowy trek odbyli tylko trzej weterani: George Band, Norman Hardie i Neil Mather, którzy odwiedzili rejon bazy, a następnie przepawili się przez 5-tysięczną przełęcz i podeszli pod ścianę północno-zachodnią. Po drodze spotkali wyprawę włoską, która załamała się nisko w południowej ścianie. „Byli to silni młodzi faceci – mówi Hardie – muszę przyznać, że ich odwrót poprawił nam humor”.

KRÓTKO

● W dniu 23 maja 1995 r. po 72 dniach katorżniczego marszu dwaj Polacy stanęli na Biegunie Północnym. Byli to Wojciech Moskal i Marek Kamiński z Trójmiasta. Przejścia dokonali całkowicie własnymi siłami, a za osiągnięcie to otrzymali Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski. Start z Resolute Bay w arktycznej Kanadzie i finał przedsięwzięcia na Biegunie filmował dla TVP reżyser Jerzy Surdel, który zmontował już dwa godzinne odcinki filmu. Komentarze napisał Maciej Kuczyński.

● W Niemczech i Austrii częste są przypadki świadomego niszczenia stałych haków asekuracyjnych i stanowisk zjazdowych. Latem 1992 r. na jednej z dróg w rejonie Berchtesgaden udało się ująć takiego sabotażystę „przy pracy”. Dopiero w tym roku sprawa trafiła na wokandę sądową, a wyrok, jaki zapadł, jest raczej surowy: oprócz wysokiej grzywny, 4 miesiące więzienia (z zawieszeniem) za *gemeinschädliche Sachbeschädigung*.

● Rezolucją z dnia 13 lipca Parlament Europejski oficjalnie uznał ChRL w Tybecie za nielegalną i postanowił nawiązać stosunki z parlamentem tybetańskim na wychodźstwie. Komentując tę doniosłą dla swego kraju decyzję, rzecznik Dalajlamy powiedział m.in., że dzisiaj „Tybetańczycy są już mniejszością w swej ojczyźnie, a niedługo staną się atrakcją dla turystów”.

Zaproszenie do Austrii

URLOPOWA NIESPODZIANKA Wypoczynek bez kosztów dodatkowych

Unken im Saalachtal, Ziemia Salzburska

Dla wielu osób zima jest najpiękniejszą porą roku. Krystalicznie czyste powietrze, romantyczne wieczory w przytulnej izbie, radość z zabaw w puszystym śniegu itd...

Z drugiej zaś strony właśnie wypoczynek zimą wiąże się z wieloma dodatkowymi kosztami, których w lecie można uniknąć. Dlatego Unken – specjalizująca się w wypoczynku rodzinnym miejscowość turystyczna w dolinie Saalachtal (Ziemia Salzburska) – przygotowała niecodzienną ofertę mającą na celu „ochronę” budżetu zimowych wojaży swych gości.

W okresie 9 III – 9 IV 1996 r. każdy z gości wypoczywających w Unken dostanie ważny na czas swego pobytu bezpłatny karnet narciarski i prawo wolnego wstępu na krytą pływalnię. Osoby uprawiające narciarstwo klasyczne Unken zaprasza do korzystania z wielu tras biegowych. Także bezpłatnie. Ponadto gospodarze pomyśleli o rozrywkach i proponują wiele imprez na nartostradach, bale „après ski” i wesołe śnieżne festyny dla dzieci. Aktualna oferta zawiera m.in. pakietowe, w ramach których można wykupić nocleg ze śniadaniem już za 190 ATS (pensjonat) lub nocleg w hotelu/zajeździe wraz z 2 posiłkami dziennie od 350 ATS.

Unken im Saalachtal leży na wysokości 564 m w Dreliländer-Eck, czyli u zbiegu trzech krajów: Ziemi Salzburskiej, Tyrolu i Bawarii. Tereny narciarskie wspina się dla starszych i młodszych członków rodziny, sięgają do 1500 m. Unken to ponadto trasy do biegów na nartach, szlaki do pieszych wędrówek zimą, szkoła narciarska, lodowisko, curling, tor saneczkowy, ośrodek rekreacji z krytą pływalnią, sauną i siłownią. Liczne imprezy i rozrywki dla gości starszych i młodszych.

Rodzaje kwater: hotele, zajazdy, pensjonaty, kwatery prywatne, apartamenty, wczasy w wiejskiej zagrodzie, kemping.

Blizszych informacji udziela: Tourismverband A-5091 Unken im Saalachtal, tel. 0043/6589/245, fax 0043/6589/502.

KARYNTIA Zima z Meterixem

Ofertę wypoczynku rodzinnego w Karyntii uatrakcyjnia maskotka Meterix – symbol zniżek dla dzieci nad jeziorem Weissensee. Chodzi o to, że dzieciaki płacą za swój pobyt w hotelu, za karnet narciarski czy też posiłek w zależności od tego, czy są duże czy też małe. I to w najprawdziwszym znaczeniu tych słów. Maskotka – miś Meterix stanowi jednocześnie miarę, służącą do zmierzenia wzrostu. I tak np. koszt karnetu narciarskiego uzależniony jest od cm, które zmierzy Meterix. Latorośl mierząca 130 cm płaci za każdy cm wzrostu 1 szyling, co daje w rezultacie 130 szylingów za tygodniowy karnet narciarski!

Informacje: Verkehrsamt, A-9762 Weissensee, tel. 0043/4713/2220.

(AOIT)

Informacje o pokrywie śnieżnej i snowboardzie są dostępne dla Państwa na każde życzenie w naszym Ośrodku. W sezonie zimowym dwa razy w tygodniu otrzymujemy informacje o warunkach śniegowych w głównych austriackich ośrodkach narciarskich. Oferujemy też więcej informacji dla wszystkich zainteresowanych snowboardem. Jeśli bylibyście Państwo zainteresowani otrzymaniem tego typu danych (dostępne w jęz. niemieckim) prosimy o telefon do naszego Ośrodka.

Austriacki Ośrodek Informacji Turystycznej (Warszawa) tel. 0-22/439728.

NARCIARSKI PATROL

W 20 narciarskich regionach Tyrolu nad bezpieczeństwem na nartostradach czuwają specjalne „białe” patrole. Ich zadanie wcale nie polega na wymierzaniu kary, a raczej na informowaniu i doradzaniu. W skrajnych przypadkach, gdy mają do czynienia z niepoprawnymi piratami nartostradowymi, posiadają prawo zabrania karnetu narciarskiego i przez to pozbawia pirata możliwości dalszej jazdy. Członkowie narciarskich patroli przechodzą specjalne szkolenia organizowane przez Austriacki Związek Narciarski. Na stoku można ich zobaczyć i odróżnić nawet z dużej odległości. Jeżdżą w charakterystycznych żółto-czerwonych kurtkach z napisem ÖSV – Pistenhilfe, czerwonych

czapkach z daszkiem. Na plecach mają czarne plecaki, w nich – apteczkę pierwszej pomocy. Mają także stałą łączność radiową z Kolejkami Górskimi (Bergbahnen) i górskim pogotowiem ratunkowym.

(AOIT)

„NARTY” I JODŁOWANIE

Miejscowość Galtür przygotowała dla swych gości szczególną rozrywkę narciarską. Co 2 tygodnie (dokładny termin, zależny od pogody, podawany jest do ogólnej informacji przez Ośrodek Informacji Turystycznej nieco wcześniej) odbywają się wyścigi na „pranartach” – deszczułkach z beczek. Uczestnicy wyścigów mają za zadanie „przeżyć” slalom z przypiętymi do butów deskami z beczek, które wprawdzie zaopatrzone są w rzemienie zastępujące nowoczesne wiązania, nie posiadają jednak kantów. Wyścigi przysparzają wiele radości zarówno widzom, jak i zawodnikom.

Dla miłośników saneczkarstwa, którym natura nie poskapiła talentów muzycznych, odbywa się nad jeziorem Weissensee „Seminarium Jodłowania i Saneczkarstwa”. Dyplom uczestnika zdobywa się jednak nie tyle za pomocą gardłowych dźwięków wydobywanych przed zachwyconą widownią, ale za sprawą wspięcia się na halę. W każdy wtorek Verkehrsamt organizuje „Halne Seminarium Jodłowania i Saneczkarstwa”. Jodłujący akrobaci spotykają się – wyposażeni w sprzęt do saneczkowania i z wiadłami głosowymi uprzednio rozgrzani – o godz. 15.30 na stacji w dolinie górskiej kolejki Weissensee – Bergbahn i wędrują razem ze swym profesorem od jodłowania na halę „Naggler-Alm”. Podczas wędrówki profesor objaśnia techniki wydobywania z siebie alpejskich „pradźwięków”. Robi to zresztą na śpiewnych przykładach, najlepszych, na jakie go stać. Następnie każdy z uczestników może sam spróbować i poddać ocenie innych swe umiejętności tudzież talenty w zakresie jodłowania i otrzymać w zamian specjalny dyplom. Wyróżnieni w ten sposób uczestnicy siadają następnie na sanki i w romantycznym świetle księżycy zjeżdżają w dolinę.

Informacje: Verkehrsamt Weissensee, tel. 0043/4713/222200, fax 0043/4713/222044.

(AOIT)

GÓRY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

HIMALAJE TATRY SKAŁY

Źle się dzieje w TPN

Z przykrością stwierdzam, że źle się dzieje w TPN. Fanatycy i nawiedzeni ekolodzy tworzą cudaczne zakazy, w myśl starej bolszewickiej zasady: „po co zezwolić, jeśli można zakazać”. Palenie górskich szałasów dotarło i tutaj. Spalono stare pasterskie szałas w Górnej Chochołowskiej i w Starej Robocie. Jelenie w TPN są strzelane przez „równiejszych”. Kilka lat temu parę lisków mieszkających w lesie blisko schroniska – znanych, lubianych i karmionych przez turystów – zostało zastrzelonych w majestacie prawa przez leśniczego „na wypadek wściekły”. W rozmowach o ludziach rządzących TPN coraz częściej słyszy się opinie w stylu wileńskim: a niech oni skisno!

Szałas w Starej Robocie żal mi szczególnie. Przez wiele lat przyjeżdżałem w marcu do Marysi i Jędrka Styrzulów, do ich małej leśniczówki „u Blaszyńskich” za potokiem Siwa Woda w Chochołowskiej. Mieszkałem na pięterku, w typowej zbiorówce, która, choć prymitywna, dała się lubić. Wieczorem, gdy już wszyscy amatorzy Marysinych pierogów wrócili do „górnego schroniska”, w jadalni tej starej drewnianej chaty było cudownie. Ogień w Marysinej kuchni, szum potoku za oknem i żadnego gwaru, po prostu urokliwa cisza. Stamtąd najbliższe było do Starej Roboty. Lubiałem w znoju drapać się do góry czarnym szlakiem, do szałas, a potem przez Siwą Przełęcz lub pod Cielęcę Tańce. Zjeżdżało się albo tą samą trasą (żadna frajda) albo „za wodą”, lasem aż do mostku u wylotu dawnej górniczej („hawiarskiej”) ścieżki spod Ornaku. Lubiałem chodzić sam, aby wrócić do siebie po zamęcie i zmęczeniu warszawskiego życia oraz wyrzucić z siebie myślowe i fizyczne trucizny. Wieczorami chodziło się na przysznik i piffko z przyjaciółmi do „górnego schroniska”.

Czas upływa, wszystko się zmienia. Marysia z Jędrkiem zbudowali sobie nową chatkę w Kirach i w starej leśniczówce zaczęli mieszkać inni ludzie. Na pożegnanie, w 1980 roku, dostałem od nich dwie małe kotki (Kuba i Kita) – już niestety obydwie nie żyją. Po Kubie został mi tylko kot (Gruby) – piękny kot puszczonej pod-

halańskiej rasy, zwanej w oficjalnej nomenklaturze rasą „norweską”. No i zacząłem mieszkać w „górnym schronisku”. Rządzi w nim do tej pory szeryf – Wicek i szeryfowa – Ala Cieślewiczowie.

W ub. roku w Chochołowskiej miała miejsce górską tragedią: zginął pod lawiną spod Wołowca nasz wieloletni przyjaciel Zbyszek Cykałowicz ze Szczecina, doskonały narciarz i zapalony obywatel. Zginął przy pięknej, słonecznej pogodzie, po południu 18 marca. Dwóch młodych zginęło pod Jarząbczym – to była głośna sprawa. Kilka lat temu młoda dziewczyna zginęła pod lawiną z Czerwonego Wierchu, w Jarząbczej. Tatry Zachodnie też mają swój tragiczny rachunek.

Czytałem ostatnio książkę A. Machnika „Dwa światy”, rozumiem i podzielam jego poglądy i frustrację, zwłaszcza, że on pracuje blisko tego biurokratyzowanego środowiska. Faktem jest jednak, że narzekaniami niewiele się zmieni. Trzeba w końcu zrozumieć, że w tej, jakby nie było, nowej rzeczywistości zwyciężać trzeba metodami demokratycznymi. A więc potrzebny jest przede wszystkim dobry przywódca ruchu odnowy, na przykład nowego, alternatywnego Towarzystwa lub frakcji w obecnym. No i werbowanie członków, tworzenie lobby, szukanie sponsorów, dostępu do mediów i tak dalej. To nie jest robota na miesiąc czy na rok, wymaga upor, entuzjazmu, wysiłku i czasu (czy znajdzie się taki wariat?). I trzeba mocno przestrzegać żelaznej zasady dobrego polityka: nie obrażać ludzi, z których poglądami przyjdzie walczyć. Trzeba walczyć ze złymi faktami i złym prawem, ale nie wolno – dla dobrej sprawy i własnego spokoju – kierować się agresją (żeby nie powiedzieć: nienawiścią) do ludzi.

Wyobrażałem sobie, aby na fali przemian ostatnich lat można było nazwać schronisko PTTK na Chochołowskiej imieniem Józefa Oppenheima, nie muszę tłumaczyć. No i dowiedziałem się od człowieka „z kręgów”, że nie ma mowy, „bo to Żyd”. Nóż się w kieszeni otwiera na takie argumenty.

Józef Kalisz

W CO SIĘ UBRAĆ

Rozpoczął się karnawał, a więc rozważania na temat mody są jak najbardziej na czasie. Strój zawsze był ważnym elementem otoczki towarzyszącej wspinaniu i tażeniu po górach. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy wszystko należało zdobyć, wystać lub załatwić, skompletowanie modnego zestawu wymagało nie lada wyczynów, a znajomości nierzadko były ważniejsze niż pieniądze. Do największego szpanu należało chodzenie (obojętnie lato czy zima) w himalajach – ciężkich butach na wibramie. Jeżdżąc w Sokoliki można było spotkać „szwagra żony brata syna”, którego wujek pracował w niedalekim wałbrzyskim „Polsporcie” i wówczas zapalało się dla nas światełko w tunelu. Jeśli nie, pozostawały zamówienia klubowe, giełdy sprzętu lub „czarny rynek”, który w wielu przypadkach był ostatnią deską ratunku.

Mnie udało się kupić wymarzone himalaje fuksem w sklepie, ale chyba tylko dlatego, że klienci z tak małą stopą są rzadkością. Nie był to towar na tyle atrakcyjny, by go chować pod ladą. Powyżej butów nosiło się wełniane skarpety z norweskim wzorem i spodnie do kolan typu pumpy. Mniej wybredni sami obcinali jakieś niepotrzebne już gacie. Natomiast perfekcjonści zamawiali u krawca spodnie z cieniutkiego, czarnego filcu lub szarego tweedu. Musiały być koniecznie na szelkach, z podniesionym stanem, z przodu zapinane na długi zamek, pod kolanem zaś na klamerkę, a nie jakiś tam zwykły guzik. Koszula do tego była obowiązkowo w kratę. Wólczańska wypuściła wówczas serię czerwono-białą i niebiesko-białą – marzenie każdego turysty-alpinisty. Całości dopełniał tzw. góralski sweter. Połowa biedy jeśli miało się „dziergającą” znajomą i rodzinę na wsi hodującą barany. Stosunkowo najprościej było pojechać do Zakopanego i kupić taki „kultowy” sweter u źródła. Trzeba było jednak liczyć się z niebezpieczeństwem kupna podróbki. Wystałałam o różnych sposobach i testach na rozpoznanie prawdziwej wełny bez domieszek. Krótko mówiąc należało zrobić próbę „ognia i wody”, a później to wszystko obwąchać.

Na początku lat osiemdziesiątych adidasy powoli zaczęły wypierać (przynajmniej latem) różne himalaje, zawraty, trapery itp., a elastyczne dresy z białymi zamkami – rodem z NRD – pracowicie zajmowały miejsce pumpek i flaneli. Sama miałam wtedy bluzę w straszliwie czerwonym kolorze. Nieraz wracając z gór zastanawiałam się, czy wypada ją nosić na szaro-burym ulicach Wrocławia. Chodziłam jednak z plecakiem, a to usprawiedliwiało wiele. W komplecie od owej bluzy miałam czarne spodnie, które zwięzłam niemilośnie, przewidując jak gdyby rychłe nadejście second skinów.

»Acha«

ZAPOMNIANE WIERSZE O GÓRACH

Kazimierz Wierzyński

ZIMA ZAKOPIAŃSKA

Góry rozsnuje na świetle księżyca
Rosną jak gdyby na przestrzeni blasku,
Bezmierną przestrzeń srebro skroś przesyca
I śnieg jest jakby z zielonego piasku.

Na szczytach świerki z japońskiego tuszu,
czarne, wycięte w tarczy księżycowej,
Stoją w płonącym świetla pióropuszu,
Jak w aureoli naokoło głowy.

Świat jest z tysiąca jednej nocy przygód,
Westchnień, przewidzeń, marzeń i sekretów,
Świat wniebowzięty w gwiazd wysokich
migot,
Świat dla kochanków i świat dla poetów.

Kazimierz Wierzyński urodził się w 1894 r. w Drohobyczu, zmarł w 1969 r. na emigracji w Londynie, był legionistą, zaznał riasańskiego smaku rosyjskiej niewoli, z której uciekłszy, działał w POW w Kijowie, gdy zaś jesienią 1918 r. znalazł się w Warszawie, wszedł natychmiast w tamtejsze życie literackie. Był jednym ze współtwórców grupy poetyckiej „Skamander”, ale debiut miał za sobą wcześniej, w 1913 r. Sławę zdobył już pierwszym zbiorkiem wierszy *Wiosna i wino*, potem przez długie lata był jednym z najślawniejszych i najpoczytniejszych polskich poetów współczesnych. Od 1939 r. przebywał na emigracji: ewakuowany z redakcją swej gazety do Lwowa jesienią 1939 r., rychło przedostał się do Francji. Później długo mieszkał w Ameryce, pod koniec życia przeniósł się do Europy. Przyniesiony tu wiersz pochodzi z tomu *Pamiętnik miłości* (1925). Nie jest to jedyny górski wiersz Wierzyńskiego (inne jeszcze tu przypomnę, choć zawsze było dla nich miejsce w antologiach poezji o górach). Subtelny ten liryk odznacza się piękną, delikatną nastrojowością, jest jednym z najpiękniejszych w polskiej poezji obrazów górskiej zimowej nocy. Przypominając go dla jego urody, trudno oprzeć się refleksji, iż jest coś smutnego w tym, że śliczne wiersze Wierzyńskiego stały się dzisiaj „niemodne”, że ich się nie czyta, że o Wierzyńskim się nie pisze...

Do druku podał **Jacek Kolbuszewski**

EKSLIBRISY GÓRSKIE Z KOLEKCJI JÓZEFA TADEUSZA CZOSNYKI (4)

Motywy sportów zimowych są bardzo często jednym z motywów na ekslibrisach górskich. Szczególnie sporo takich znaków prezentuje uprawianie narciarstwa w górach. Reprodukowany ekslibris o tej górsko-narciarskiej tematyce jest dziełem Tadeusza Andrusiewicza z Jeleniej Góry. Autor z zawodu jest grawerem, stąd swoje ekslibrisy rytuje w metalu. Nazywa się ta technika metalorytem. Jest on także zimową porą zapalonym narciarzem.

To swoje zimowe zainteresowanie przedstawił we własnym ekslibrisie, który wykonany został ćwierć wieku temu, bo jeszcze w 1971 r. Na rycinie widać zjeżdżającego narciarza ze zbocza górskiego, w tle są karkonoskie szczyty.

J. T. Czosnyka



Tadeusz Andrusiewicz -
Jelenia Góra, 1971 r.,
metaloryt



FENIX® S.A.
TOWARZYSTWO
UBEZPIECZENIOWE

50-066 WROCLAW,
ul. Świdnicka 19,
tel. (0-71) 337-14, fax 724-321

PRZEDSTAWICIELSTWA:

58-500 JELENIA GÓRA, pl. Ratuszowy 31/32, tel. 266-63
59-200 LEGNICA, ul. Libena 5
56-400 OLEŚNICA, ul. Mickiewicza 4b, tel. 142-412
55-200 OŁAWA, ul. 3 Maja 20/20, tel. 139-684
63-400 OSTRÓW WLKP., ul. Wolności 30, tel. (864) 367-280
58-300 WAŁBRZYCH, ul. Sienkiewicza 1, tel. 242-17
63-200 JAROCIN, ul. Kard. Wyszyńskiego 4,
tel. (062) 47-32-91 w. 35

AGENCJE:

49-300 BRZEG OPOLSKI, ul. Powstańców Śl. 2, tel. 45-15
57-300 KŁODZKO, ul. Harcerzy 3a, tel. 32-72
48-300 NYSA, ul. Bończyka 15
DZIERŻONIÓW, ul. Świdnicka 24, tel. 31-64-34
ŚWIDNICA, ul. Rynek 39/40, tel. 52-48-56
ZĄBKOWICE, ul. 1 Maja 1, tel. 15-16-34
BYSTRZYCA KŁ., ul. Okrzei 32, tel. 11-03-68
WAŁBRZYCH, ul. Lewartowskiego 3, tel. 255-45, 264-14
WAŁBRZYCH, ul. Broniewskiego 65, tel. 417-070
WROCLAW, Rynek-Ratusz 11/12

- Biuro Usług Turystycznych i Handlu

PRZEJŚCIA GRANICZNE:

Zgorzelec, Sieniawka, Jakuszyce, Kudowa, Łęknica

